685

BIBLJOTEKA NARODOWA

Nr. 113 Serja I

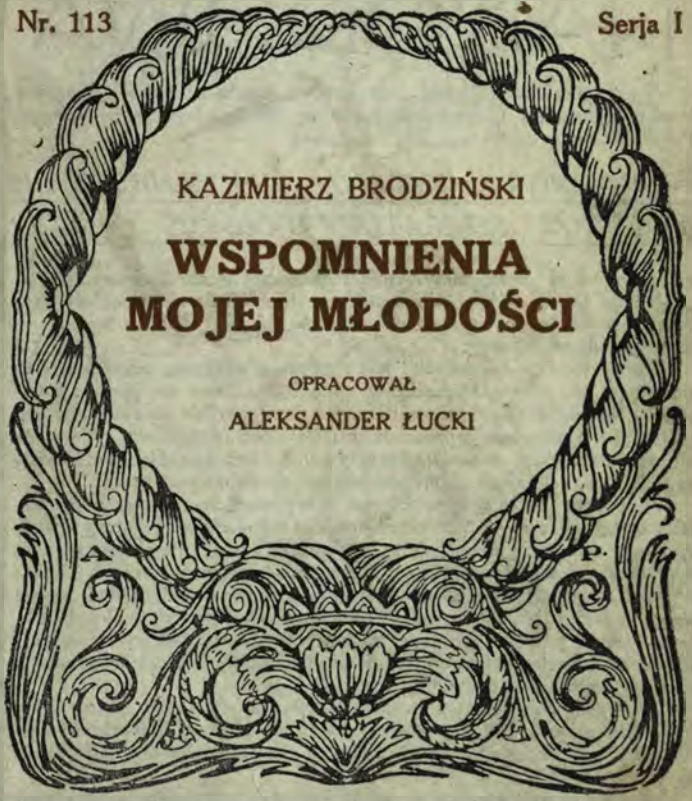

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI

WSPOMNIENIA MOJEJ MŁODOŚCI

OPRACOWAŁ

ALEKSANDER ŁUCKI

KRAKOWSKA SPÓŁKA WYDAWN.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Nr. 112. BIBLJOTEKA NARODOWA Serja I

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI

WSPOMNIENIA MOJEJ MŁODOŚCI

I INNE PISMA AUTOBIOGRAFICZNE

WSTĘPEM I OBJAŚNIENIAMI ZAOPATRZYŁ
DR. ALEKSANDER BRÜCKNER

685

INSTYTUT
HISTORII LITERATURY POLSKIEJ
BIBLIOTEKA
Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-66-66

685

KRAKÓW
NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Nr. 113 BIBLJOTEKA NARODOWA Serja I

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI

WSPOMNIENIA MOJEJ MŁODOŚCI

I INNE PISMA AUTOBIOGRAFICZNE

WSTĘPEM i OBJAŚNIENIAMI ZAOPATRZYŁ

DR ALEKSANDER ŁUCKI

685

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

685

KRAKÓW
NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

http://rcin.org.pl

23.083

Odbito w drukarni »Czasu« w Krakowie
1928
http://rcin.org.pl

WSTĘP

»... W całej literaturze polskiej niema pomnika autobiograficznego, kreślonego ręką poety, któryby był równie zajmującym, posiadał tyle wdzięku szczerości i prostoty, i tak się nadawał na lekturę powszechną, a przedewszystkiem dla młodzieży, jak *Wspomnienia* [Brodzińskiego] a przecież są one dotychczas nieznane ogółowi i niedostępne dla niego«... Powyższe słowa prof. Józefa Tretiaka, napisane przed dwudziestu kilku laty, nie straciły po dziś dzień nic ani ze swojej prawdziwości, gdy kreślą charakterystykę i ocenę *Wspomnień* Brodzińskiego, ani ze swej aktualności, gdy opisują ich pośmiertne losy. Zadaniem niniejszego wstępu jest właśnie te dwie strony powyższego cytatu szczegółowo rozwinąć.

I

»DZIENNICZKI« BRODZIŃSKIEGO

Gdyby nawet nie zachowały się wcale pamiętniki i dzienniczki Brodzińskiego, to i tak podejrzywalibyśmy mocno, że musiał je pisać. Była to bowiem natura refleksyjna, człowiek skłonny do zadumy, do ciągłych rozmyślań, zastanawiania się nad sobą i swym rozwo-

http://rcin.org.pl

jem; skrupulatność zaś, a także pewna, jeśli można się tak wyrazić, skrzętność i zapobiegliwość w gospodarstwie literackiem, w gromadzeniu materjałów do twórczości, skłaniały go i przyzwyczajały do ciągłego notowania cisnących się wszelakich myśli, obserwacyj itp. Jak inni dzielą się wrażeniami i myślami w rozmowie z ludźmi, tak Brodziński-samotnik powierzał je stale papierowi. To też gdy u schyłku swego, krótkiego zresztą, życia zabrał się do spisywania *Wspomnień*, znalazł do nich bogate, obfite materjały w prowadzonych przez wiele lat przedtem zapiskach bieżących, dzienniczkach. Dzisiaj zachowało się ich wprawdzie bardzo niewiele, ale różne świadectwa, informacje (przedewszystkiem tak zasłużonego na tem polu Franciszka Salezego Dmochowskiego, który miał w swych rękach całą spuściznę rękopiśmienną po Brodzińskim i część z niej uratował, a o reszcie przekazał przynajmniej wiadomości), pozwalają odtworzyć częściowo obraz tego, co zaginęło.

A najpierw — pozwalają stwierdzić interesujący fakt, że takie spisywanie myśli, prowadzenie dzienniczka, zaczęło się u Brodzińskiego dosłownie od samego początku jego rozwoju umysłowego, a więc od chwili, gdy po raz pierwszy rozbudził się z uśpienia, zaczął zastanawiać się nad sobą, swem życiem dotychczasowem, a poczuwszy głód wiedzy, kształcenia się, począł snuć plany pracy nad sobą. Było to w r. 1806, gdy piętnastoletni Kazimierz znalazł się w Rajbrodzie, a potem w Wojniczu; rozpoczęty tam właśnie dzienniczek kontynuował dalej w Tarnowie, w latach 1806—1809. Dzienniczek ten miał jeszcze w ręce w 1870 r.

http://rcin.org.pl

wspomniany wyżej Fr. S. Dmochowski, i on to stwierdza,[1] że był to zeszyt wynoszący kilkadziesiąt stronic i że Brodziński »zapisywał w nim, co czytał i co widział, zamieszczał myśli, które szczególniej zwróciły jego uwagę, oraz pierwsze próby poezyj swoich, objęte w listach do przyjaciela. W tych zapisach szczególnie uderzyło mnie usposobienie do myślenia i smętności, które już się w tak młodocianym wieku przebijało«.

Niestety notatnik ten zaginął dzisiaj bez śladu, a Dmochowski zacytował zeń jako próbkę tylko sam początek:

»Dzień 18 czerwca [1806] jest dzisiaj, w którym zacząłem pisać dziennik, a przy zaczęciu go myśleć na upłyniony już wiek począłem, w którym nie używałem porządku w rzeczach, a przeto mało co dobrego zrobiłem, wiele opuściłem i, że tak powiem, czas, który dosyć sam prędko płynie do zatraty, popychałem, który był posłuszny, wiedząc, iż mi to kiedykolwiek smutkiem nadgrodzi. Chciałem płakać, ale mnie samego wstyd było, przedsięwziąłem przeto mądrzejszy być po szkodzie, lichwę za dawniejszy czas stracony wytrącić i pamiątki z niego, jeżeli jakie będą, urywać. I tak dzień dzisiejszy na samem rozmyślaniu kończę«.

---

[1] W studjum *O życiu i pismach K. Brodzińskiego* (w *Bibljotece Warszawskiej* 1870 i w osobnej odbitce z 1871). Mylnie jednak odnosi dziennik ten do r. 1805 i do pobytu w Tarnowie; Brodziński w r. 1805 w Tarnowie wcale nie był, a powtóre w roku tym nie zaczął się jeszcze rozwijać umysłowo.

http://rcin.org.pl

Z dalszych ustępów Dmochowski wydrukował niestety tylko kilka myśli, wpisanych przez Brodzińskiego z czytanych właśnie autorów, oraz kilka znanych wierszyków Kazimierza z tych lat.

Nie można przecież wątpić, że rozpoczęty w 1806 r. dziennik, kontynuował Brodziński nietylko, jak informuje Dmochowski, w latach szkolnych 1806 - 9, ale tem bardziej i później, gdy wstąpił do wojska. Znowu jednak z całego okresu służby wojskowej, 1809—1813, zachowała się tylko cząstka dzienniczka, a mianowicie zapiski z r. 1813, z wyprawy w dywizji księcia Józefa z Krakowa pod Lipsk; urywek to znany i ogłaszany już kilkakrotnie jako »dziennik wojskowy Brodzińskiego«. Autograf, z którego już podczas wyprawy zaginęła znaczna część, nadto pisany z przerwami, jak to sam autor opowiada w zapisce z 7 sierpnia, przeszedł po śmierci Brodzińskiego w ręce brata jego żony, p. Holly'ego, i on to przesłał w kilka lat później sporządzoną przez się wierną kopję Dominikowi C. Chodźce, zbierającemu właśnie materjały do 10-tomowej edycji wileńskiej *Pism* Brodzińskiego z 1842—44. Chodźko istotnie wydrukował Dzienniczek (w tomie X, na str. 276—290), ale nie jest to tekst pełny, tylko urywki, wynoszące mniej więcej połowę całości, a powyrywane z niej w różnych miejscach, nieraz co kilka zdań; pominięto tam wiele ustępów bardzo ciekawych (głównie zdaje się z obawy przed cenzurą), a także prawie wszystkie wplecione w tekst wiersze. Po latach Dmochowski dostał w swe ręce pierwotny odpis Holly'ego, a więc pełny tekst *Dziennika*, i sporządził zeń własnoręcznie kopję do planowanego zupełnego wy-

http://rcin.org.pl

dania pism Brodzińskiego; ale 8-tomowa edycja z 1872 r., wykonana po jego śmierci na podstawie jego zbiorów przez Kraszewskiego, nie zamieściła *Dziennika* wcale. Kopja Dmochowskiego znajduje się obecnie w Bibljotece Jagiellońskiej (rkp. nr. 4604), i z niej to niżej podpisany wydał pełny tekst w 1910 roku w *Nieznanych pismach Brodzińskiego prozą* (*Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce*, tom XII).

Po ukończeniu służby wojskowej spędził Brodziński cały rok na ustawicznej tułaczce; otóż i ten tryb życia nie przeszkodził mu prowadzić dalej dziennicz-ka, a przedewszystkiem systematycznie zapisywać myśli ważniejsze z czytanych dzieł. Takie to właśnie zapiski z 1814 r. zawierał zeszyt o kilkudziesięciu stronicach, dziś zaginiony; oto jego opis: »Rękopis zaczęty 16 stycznia 1814, obejmuje mnóstwo uwag i prawideł z życia społecznego. Religja, moralność, rozum, rozsądek, są ich przedmiotem; pod każdym znajduje się podpis autora, z którego były wyjęte. Tych autorów jest kilkadziesiąt: francuskich, niemieckich, angielskich; z autorów polskich jest Krasicki, Wybicki, St. Potocki, Jaroński. Pod kilkunastoma wyjątkami nie wyrażono, skąd są wzięte. Czyliż byłyby to własne myśli Brodzińskiego? Takiemi są, nie wątpię o tem, uwagi o śmiałości, rozsądku i miłości bliźniego, kilka stronic obejmujące«.[1]

Przyzwyczajenia, nałogu, jakiego nabrał zamłodu, nie pozbył się Brodziński i w latach późniejszych — i zawsze miał pod ręką notatnik, w którym zapisywał

[1] Dmochowski, *op. cit.*

http://rcin.org.pl

zdarzenia, myśli, a także wyciągi z lektury i plany twórczości. — Wyobrażenie o nich da opis jednego z nich: »Jest własnoręczna książeczka Brodzińskiego, w której zamieszczał swoje wrażenia i plany do przyszłych utworów, w miarę jak mu do myśli przychodziły. Są tam i rachunki z wydatków w podróży zagranicą i kilka fraszek, piosnek i oderwanych uwag. Zapiski te ciągną się od r. 1824 do 1828. Znaczna ich część zawiera notaty wrażeń z pobytu w Szwajcarji. Zapisywał w kilku słowach dla własnej pamięci to, co zamyślał rozwinąć w obszerniejszym obrazie«...[1]

Wszystko to jednak zaginęło, a z lat dojrzałych, oprócz autobiografji z 1823 r., mającej zupełnie inny charakter, napisanej okolicznościowo, dla użytku władzy przełożonej, — zachował się tylko urywek pamiętnika p. t. *Wspomnienia mojej młodości*, opisującego lata najwcześniejsze aż do 1809 r. i początek pobytu w Warszawie.

II

»WSPOMNIENIA MOJEJ MŁODOŚCI«

Data powstania. Umarł Brodziński w 44-ym roku życia, a więc stosunkowo bardzo młodo, w wieku, w którym ludzie zazwyczaj nie zabierają się jeszcze do spisywania pamiętników swojego życia. Co skłoniło go zatem do pisania *Wspomnień* tak wcześnie? czyżby czuł się już starym? czy przewidywał śmierć przedwczesną? Przypuszczaćby można, że przymusowa

[1] Dmochowski, *op. cit.*

http://rcin.org.pl

emerytura po r. 1831, oderwanie od tak ukochanej pracy na Uniwersytecie, od młodzieży, mogło mu uświadomić, że rola jego już skończona; przygnębienie zaś z powodu klęski, którą odczuł tak boleśnie, oraz z powodu represyj rządu rosyjskiego, okropnego położenia społeczeństwa, wreszcie związanych z tem wszystkiem osobistych kłopotów materjalnych — wszystko to razem mogło sprawić, że uczuł się przedwcześnie starym. A przytem — tyle już przeżył i tyle widział w tych czterdziestu upłynionych latach: ucisk rządu austrjackiego w Galicji, kampanje napoleońskie, całą historję, rozwój Królestwa Kongresowego, na który zrazu patrzył z taką radością, — i wreszcie powstanie listopadowe. Cóż byłoby dziwnego, gdyby pod wrażeniem wstrząsających przejść roku 1831 zabrał się do opisania całego swego życia, wspomnień tak różnorodnych i tak bogatych.

Podnietą zaś bezpośrednią była myśl o ukochanej córeczce, Karusi. Że dla niej pisał i przeznaczał te *Wspomnienia*, stwierdza to sam Brodziński zupełnie wyraźnie; a mianowicie, opisując dobrodziejstwa otrzymane w Tarnowie od nauczyciela Schmidta, dodaje: »proszę córki, dla której domowej rozrywki godziny spoczynku pisaniu tych kartek poświęcam, aby kiedy i za niego westchnęła do Boga«... Serdeczna przyjaciółka rodziny Brodzińskich, Katarzyna Lewocka,[1] informuje jeszcze, że Brodziński, wyjeżdżając w 1835 r. na kurację zagranicę, z której nie miał już

[1] Znana literatka i założycielka jednego z salonów literackich w Warszawie; por. Tretiak, *Bohdan Zaleski*, I 288.

http://rcin.org.pl

wrócić, sam związał starannie wszystkie arkusze tego pisma i własnoręcznie wypisał na wierzchu wielkiemi literami: »To zostawiam mojej córce Karolinie«[1]. Dodam tu odrazu, że Lewocka podała także zupełnie dokładną datę pisania *Wspomnień*, a mianowicie twierdzi, że zaczął je pisać Brodziński w 1833 r. Wobec jednak niedokładności innej informacji Lewockiej, o czem niżej, i co do daty samo jej świadectwo wystarczyć nam nie może. Informację rozstrzygającą znaleźlibyśmy pewnie we wspomnieniach, jakie pisała o ojcu właśnie owa jego córka Karolina; cóż, kiedy zaginęły, a Dmochowski ocalił z nich tylko drobny urywek,[2] który jeno chyba pośrednio mógłby rzucić jakieś — i to bardzo słabe — światło na datę powstania *Wspomnień*. Z opowiadania córki zdaje się bowiem wynikać, że po r. 1831 matka przebywała z nią często w Mniszewie, majętności swego krewnego, doktora Malcza, późniejszego opiekuna Karoliny, a ojciec dojeżdżał do nich z Warszawy. Otóż ta rozłąka z ukochaną córeczką i tęsknota za nią — mogła być także jedną z podniet do spisywania dla niej owych wspomnień.

Przypuszczeniu, że *Wspomnienia* powstały już po r. 1831, wyraźnie sprzeciwia się właściwie tylko jedno świadectwo. Oto *Przyjaciel ludu*, drukując w 1836 roku nadesłane przez Lewocką urywki *Wspomnień*, dodał od siebie informację, niewiadomo skąd pochodzącą i na czem opartą, że Brodziński pisał je przed 10 laty (a więc w r. 1826). Informacja ta jednak,

[1] *Wspomnienie o Kazimierzu z Królówki* w *Piśmiennictwie krajowem* 1840.

[2] Dmochowski, *op. cit.*

http://rcin.org.pl

której Lewocka zaraz wtedy zaprzeczyła,[1] jest niewiarygodna już choćby z tego względu, że w r. 1826 nie było jeszcze na świecie córki Brodzińskiego,[2] dla której pisał te *Wspomnienia*.[3]

Ale należy jeszcze się przekonać, czy sam tekst *Wspomnień* nie zawiera jakich wskazówek co do daty; otóż istotnie rzucają na tę sprawę pewne światło niektóre wypowiedzenia Brodzińskiego w urywkach końcowych pamiętnika. I tak szczegóły z życia Tymowskiego mogłyby, po przeprowadzeniu szczegółowych badań nad jego życiorysem, dopomóc do ustalenia dokładnej daty pisania tego urywka. A co do urywków o ks. Szaniawskim i o prof. Kolbergu, możemy już dziś napewno stwierdzić, że pisał je Brodziński po r. 1831, skoro mówi o obu jako o zmarłych, wiadomo zaś przecie, że pierwszy z nich umarł w 1830, a drugi w 1831 r.[4] Zdobycz ta nie jest wprawdzie jeszcze dostateczną podstawą do twierdzenia, że całe

---

[1] We wspomnianej już wyżej pracy z 1840 r.

[2] Brodziński ożenił się w 1826 r., córka zaś przyszła na świat w r. 1828, skoro według zgodnej informacji Lewockiej oraz Dmochowskiego miała 7 lat, gdy ojciec umarł.

[3] Coprawda *Przyjaciel ludu* twierdzi, że pisane one były nie dla córki, lecz dla przyjaciela; widzieliśmy jednak, że świadectwo samego Brodzińskiego wyraźnie temu zaprzecza.

[4] Wskazówki co do daty możnaby nawet dopatrywać się w kilkakrotnych wzmiankach we *Wspomnieniach* o „łagodnym rządzie austrjackim". Wszak postępowanie Austrji wobec Polaków w Galicji z końca XVIII w. i z początku XIX mogło się wydać Brodzińskiemu „łagodnem" chyba dopiero po r. 1830, przez porównanie z okrutnemi represjami Moskali po stłumieniu powstania listopadowego.

http://rcin.org.pl

Wspomnienia pisane były po r. 1831; wszak mogła to być praca wielu lat, kontynuowana z znacznemi przerwami, w wolnych chwilach tylko, których Brodziński miał tak niewiele. Jeżeli jednak stwierdzenie, że niektóre urywki *Wspomnień* powstały napewno dopiero po r. 1831, zestawimy z wyraźnem pokrewieństwem nastroju całości pamiętnika z nastrojem *Fraszek*, pisanych właśnie po r. 1831, to w świetle tem nabierze cech prawdopodobieństwa i wiarygodności cytowane wyżej świadectwo Lewockiej, że *Wspomnienia* pisane były po r. 1830.

Losy „Wspomnień" po śmierci Brodzińskiego. Z całej tak bogatej rękopiśmiennej spuścizny po Brodzińskim, przeważnie zaginionej dziś bez śladu, najwcześniej wywołały zainteresowanie i doczekały się druku — właśnie *Wspomnienia*. I tak — zaraz po śmierci poety zaczęto je rozpowszechniać w odpisach; wszak Skimborowicz w r. 1844 opowiada, że zdarzyło mu się w kilku domach „nietylko na wsi, ale nawet i w mieście, w tych salonach, gdzie francuszczyzna nie zapomniała jeszcze o swojem władztwie, widzieć *Wspomnienia młodości Brodzińskiego* przepisywane w kilku egzemplarzach ręką własną matek i córek".[1] Co więcej — już w rok po śmierci autora pojawiły się, coprawda tylko fragmenty z nich, w druku. Zasługa to wspomnianej już wyżej Lewockiej, która, pożyczywszy rękopis od wdowy po Brodzińskim, zrobiła z *Wspomnień* wyciąg i dołączywszy od siebie wiadomość o życiu poety oraz otrzymaną w liście od

[1] *Przegląd naukowy*, Warszawa 1844.

http://rcin.org.pl

Odyńca relację o jego śmierci w Dreźnie, posłała to wszystko w r. 1836, jako nekrolog do wychodzącego w Lesznie *Przyjaciela ludu*. Redakcja istotnie wydrukowała nekrolog, a w nim owe urywki *Wspomnień*, ale bez wymienienia autorki, nadto zaś dodała od siebie wspomniane już wyżej błędne informacje. Dotknięta tem Lewocka wydrukowała swój nekrolog (z odpowiedniem sprostowaniem) po raz drugi, w 1840 r., w *Piśmiennictwie krajowem*, wydawanem przez Skimborowicza.

Ogłoszone w latach 1842—4 przez Dominika C. Chodźkę pierwsze wydanie zbiorowe pism Brodzińskiego, w 10 tomach, nie przedrukowało wcale *Wspomnień*, natomiast redaktor *Piśmiennictwa krajowego*, Skimborowicz, zainteresował się owemi urywkami, ogłoszonemi w 1840 r. w jego piśmie, dotarł do tekstu pełnego i w r. 1844 zaczął go ogłaszać w *Przeglądzie naukowym*. We wstępie zaś tak o nich pisze:

„Dostały się nam kreślone ręką tego sławnego piewcy — *Wspomnienia mojej młodości*. Jest to rodzaj pamiętników, sięgających dzieciństwa jego i rzucających wielkie światło na życie poety. Gdyśmy szczegóły o śmierci Brodzińskiego, opisane w liście A. E. Odyńca do pani K. z L.[ipińskich] L.[ewockiej] cztery lata temu w *Piśmiennictwie krajowem* wytłoczyli, mieliśmy także udzielonych i kilka wyjątków ze *Wspomnień młodości* tego wieszcza, które też jednocześnie zamieszczone u nas były. Otrzymaliśmy teraz więcej tego nieoszacowanego rękopisu i pospieszamy udzielić go czytelnikom naszego pisma“.[1]

[1] *Przegląd naukowy, literaturze, wiedzy i umnictwu poświęcony*, tom III, Warszawa 1844.

http://rcin.org.pl

Istotnie też w pięciu numerach *Przeglądu*, od 19 do 23-go, wydrukował Skimborowicz pełny tekst *Wspomnień*, aż do chwili wstąpienia Brodzińskiego do wojska.[1] Nie było to wszystko, co Skimborowicz wydrukować zamierzał, gdyż w numerze 23-im umieścił pod ogłoszoną (ostatnią już przecież) częścią *Wspomnień* zapowiedź dalszego ciągu: *(d. c. n.)*. Przypuszczać tu można dwie rzeczy: po pierwsze, że Skimborowicz miał dalszy ciąg *Wspomnień*, ale go z powodu jakichś niespodziewanych przeszkód nie mógł już ogłosić. Prof. Tretiak domyśla się, że przeszkodą taką mógł się okazać wzgląd na różne osoby żyjące, o których Brodziński w dalszych ustępach swego pamiętnika swobodnie się wyrażał, niczem nie krępując swego sądu; przypuszczenie takie popiera cytatem ze wstępu Skimborowicza, który wyraźnie zdaje się polemizować z czyjemiś w tej mierze skrupułami. Jabym znowu sądził, że jeszcze ważniejszą przeszkodą okazała się cenzura rosyjska; wszak właśnie w najbliższym, uratowanym i ogłoszonym później urywku, opisywał Brodziński wojny napoleońskie i patrjotyczny, pełen zapału dla wolności nastrój społeczeństwa polskiego w r. 1809. — Przypuszczenie drugie, to że Skimborowicz otrzymał tylko tyle, ile ogłosił, ale nie uważał tego bynajmniej za wszystko i miał nadzieję otrzymać więcej, nadzieja go jednak zawiodła; hipoteza ta znajduje swe potwierdzenie w cytowanem wyżej jego wyrażeniu: „otrzymaliśmy teraz więcej tego nieoszacowanego rękopisu"...

[1] Tekst ten został zaraz przedrukowany w innem piśmie ówczesnem, w *Orędowniku* (1844—5).

http://rcin.org.pl

Jakkolwiekbądź — ani Skimborowicz, ani nikt inny przez sześćdziesiąt następnych lat nie ogłosił dalszego ciągu *Wspomnień*,[1] chociaż w latach tych pojawiła się o nim nowa informacja. A mianowicie w roku 1870 Dmochowski opowiada, w cytowanej już rozprawie, że odnalazł w papierach po Brodzińskim kilka nowych kartek *Wspomnień*, zamierzał je ogłosić w przygotowywanej zupełnej edycji Pism Brodzińskiego, ale śmierć przeszkodziła wykonaniu zamiaru; dokonane przez Kraszewskiego wydanie z rękopisów Dmochowskiego wogóle, jak wiadomo, *Wspomnień* nie zamieściło, a papiery Dmochowskiego spoczęły w zbiorach Bibljoteki Jagiellońskiej, nikomu nieznane. Wobec tego prof. Tretiak, wydając w 1901 r. *Wspomnienia* jako osobną książeczkę,[2] mógł przedrukować tylko tekst Skimborowicza z 1844 r. Dopiero w 1905 r. prof. Gubrynowicz odnalazł w jednej z bibljotek warszawskich zrobioną przez kogoś innego kopję dalszych fragmentów i według niej ogłosił je w *Pamiętniku literackim* z 1905 r.

Dokąd doprowadził Brodziński „Wspomnienia". Gdy porównamy odnaleziony dzisiaj tekst Dmochowskiego z tem, co wydrukował w 1905 roku Gubrynowicz, przekonamy się, że w obu kopjach, dokonanych niezależnie od siebie, zachowało się zupełnie tyle samo, i to tych samych fragmentów dalszego

[1] Tylko Wójcicki w II i III tomie *Cmentarza Powązkowskiego* (II 11-12, III 224-6) wydrukował dwa urywki, o ks. Szaniawskim i o prof. Kolbergu.

[2] Jedyne to książkowe wydanie *Wspomnień* jest już oddawna zupełnie wyczerpane.

http://rcin.org.pl

ciągu *Wspomnień*. Wniosek, że wogóle tyle tylko Brodziński napisał, byłby przedwczesny; wszak obie kopje mogły być dokonane znacznie później (o kopji Dmochowskiego wiemy to na pewno), gdy już dalsze części autografu zaginęły. Sprawę tę komplikuje jeszcze kategoryczne twierdzenie wspominanej już kilkakrotnie Lewockiej, a więc poważnego bądź co bądź świadka współczesnego, że Brodziński doprowadził swój pamiętnik aż do r. 1830.[1] Co więcej, ta sama Lewocka w wiele lat później, w liście do Seweryny Duchińskiej, pisanym około 1885 r.,[2] opowiada, że rewizja w domu wdowy po Brodzińskim skonfiskowała pełny tekst *Wspomnień*, ale że naczelnik rewizji, niejaki Storożenko, literat rosyjski, »przechował rękopis, który później dostał się jego spadkobiercy. Ten mieszka w Kijowie i, jak tu utrzymują, przysyła od czasu do czasu dziennikarstwu naszemu urywki z owych drogocennych pamiętników poety«.

Wiadomość ta jednak mało wiarygodna; pisma polskie z owych czasów nie wydrukowały żadnych dalszych urywków *Wspomnień*, a inne pomyłki w liście Lewockiej, a nawet sprzeczności z własną relacją dawniejszą z 1840 r., każą przypuszczać, że koło 1885 r. zawodziła ją już pamięć.

Już Tretiak słusznie zauważył, że gdyby Brodziński doprowadził istotnie swój pamiętnik aż do 1830 r., mało zrozumiałym byłby jego tytuł: »Wspomnienia

---

[1] We *Wspomnieniu o Kazimierzu z Królówki. Piśmiennictwo krajowe* 1840.

[2] *K. Brodziński, odczyt publiczny w Paryżu*, przez Seweryne Duchińską. Paryż 1885.

rcin.org.pl

mojej młodości«. — Ostatecznie — faktem jest, że około 1870 r., gdy Dmochowski dotarł do autografu, zawierał on tyle tylko, ile mamy dzisiaj; a i sam Brodziński we własnoręcznym, na kilka miesięcy przed śmiercią sporządzonym spisie swych prac — pamiętnik swój zatytułował: »Wspomnienia mojej młodości, *ułomek*«;[1] przypuszczać więc należy, że nie napisał więcej, niż się dziś zachowało. Zamierzał wprawdzie pisać dalej, jak wskazuje rozpoczęty opis pobytu w Warszawie, ale śmierć przedwczesna musiała stanąć temu na przeszkodzie.

III

ZNACZENIE »WSPOMNIEŃ« I »DZIENNICZKA WOJSKOWEGO«

Ktokolwiek pisał o Brodzińskim, musiał uznać, że *Wspomnienia* są najważniejszem źródłem do jego biografji, i korzystał z nich w całej pełni. I może właśnie dlatego, że wyzyskano zawarty w nich materjał biograficzny w licznych studjach o Brodzińskim, nie zdawano sobie dość sprawy z potrzeby uprzystępnienia ogółowi samych *Wspomnień*. A jednak niesłusznie, bo najpierw jest w nich — o czem się mniej wie i pamięta — oprócz szczegółów biograficznych, także cenny materjał do charakterystyki epoki, a powtóre, niezależnie od wartości biograficznej i historycznej — jest to świetny utwór literacki.

Wizerunek poety. Oprócz niewielu zachowanych listów i wierszy, jedyne to źródło do dziejów

[1] Dmochowski, *op. cit.* str. 6.

http://rcin.org.pl

młodości Brodzińskiego, ale zato takie, jakiego nie mamy niestety dla żadnego z wielkich naszych pisarzy: spowiedź poety samego — i to właśnie człowieka, który tak dobrze znał siebie i zdawał sobie sprawę z swego rozwoju, z jego czynników. Co więcej, to obraz młodości, która odegrała w całem dalszem życiu rolę tak wielką, tak ważną, ukształtowała je decydująco, całkowicie. Więc poznajemy nietylko Brodzińskiego jako chłopca i młodzieńca, ale otrzymujemy obraz jego natury, usposobienia, charakteru, niezmienionego i w latach późniejszych. To tylko 18 lat życia, od 1791—1809, boć szczupłych urywków z 1814 r. niema co brać w rachubę, ale tych 18 lat znaczy w życiu i rozwoju naszego poety wielokrotnie więcej, niż w życiu innych ludzi, którzy spędzili je spokojnie, w domu rodzicielskim i w szkole.

Czegóż bo nie zaznał, nie zakosztował Brodziński w tym niedługim okresie? Pierwszych lat szczęścia, pod okiem kochającej matki, niemal nie pamiętał, a jednak zachował na zawsze gorące uczucie miłości [1] dla niej utraconej; tak silne, jak i dla również utraconej (i to równocześnie) ojczyzny; o tych dwóch najgłębszych uczuciach swej duszy mówi sam tak rzewnie w ustępie, którego pozbawiła nas niegdyś cenzura. Miał zaledwie kilka lat, gdy zaczęło się dlań prawdziwe piekło pod rządami macochy — i drugie, niemniej okropne, w szkole austrjackiej. A potem, po śmierci ojca, zaziera mu w oczy widmo głodu —

[1] Był to raczej głęboki kult matki, wytworzony później, już po jej śmierci.

http://rcin.org.pl

i wtedy to heroiczna wyprawa piesza z Krakowa do macochy — i kilka miesięcy życia zgoła na łonie natury w Rajbrodzie. A jest to właśnie chwila ocknięcia się, przebudzenia duchowego i umysłowego, zastanowienia nad sobą, nad przyszłością; krótki zaś, lecz tak ważny pobyt w Wojniczu, w towarzystwie rodzeństwa, a zwłaszcza brata Andrzeja, zadecyduje o trwałem postanowieniu pracy nad swym rozwojem, kształceniem się, co więcej, rozstrzygnie też — i to już na zawsze — o kierunku tego rozwoju. Więc w ostatnich latach szkoły zaczęło się zupełnie nowe życie, świadoma, wytężona praca nad sobą. I wreszcie, najpóźniej, przychodzi — pod wpływem wypadków politycznych, wojen napoleońskich — rozbudzenie, uświadomienie narodowe, patrjotyczne, i ono to zadecyduje o wstąpieniu do wojska polskiego w r. 1809.

Wszystkie te bujne przygody i przeżycia w ciągu niewielu lat odmalowane są w pamiętniku nietylko dokładnie, wiernie, ale i świetnie, a mianowicie z doskonałem uwydatnieniem ich wpływu na rozwój w latach późniejszych. Przeczytawszy te karty, rozumiemy istotnie, że Brodziński wyniósł niezatarte wrażenia z swej młodości, że była ona naprawdę dlań rzeźbiarką, ukształtowała nietylko charakter, umysł, ale i usposobienie, stosunek do świata i ludzi; że wreszcie lata te wpłynęły w znacznej mierze nawet na jego późniejsze stanowisko literackie, nawet na rodzaj i charakter całej jego twórczości.

O tem znaczeniu *Wspomnień* dla poznania młodości poety i dla zrozumienia jej roli dla całego dalszego życia — wiedziano już dawno; mniej może

http://rcin.org.pl

zdawano sobie sprawę, że dają one również portret Brodzińskiego z chwili, gdy je pisze, a więc z lat ostatnich. Z tego, jak opisuje swą młodość, jak ją oświetla, poznajemy przecież doskonale jego poglądy, a także jego nastrój, stan duchowy wogóle. Piękna dusza Brodzińskiego spowiada się tu tak szczerze, natura jego szlachetna odsłoniła się głęboko. Z utworu bije postawa wobec życia i świata, postawa prawdziwego filozofa praktycznego, który wiele zrozumiał, pogodzonego z życiem i jego smutkami, z ludźmi i ich wadami; choć tak wstrzemięźliwy w słowach, okazuje się autor głębokim moralistą. Ta mądrość życiowa, będąca najbardziej charakterystyczną cechą pamiętnika (a także nastrój opowiadania, ton łagodnego smutku, czasem znowu humoru, o czem jeszcze w dalszym ustępie) spokrewnia *Wspomnienia* wyraźnie z pisanemi po r. 1831 *Fraszkami* i wierszami filozoficznemi, jak np. *Dziadek*.

Obraz epoki we „Wspomnieniach". Nie można twierdzić, żeby Brodziński uważał nakreślenie tła, obrazu epoki, specjalnie za swoje zadanie, niemniej przecież mimochodem rozrzucił nieco rysów do jej charakterystyki. A więc liczne sylwetki ludzi, wśród których żył lub z którymi tylko przelotnie się zetknął, dają nam wyobrażenie o owych czasach; są to postaci rodziców, nauczycieli, kolegów ze szkoły i z wojska, to znowu całe grupy, warstwy społeczeństwa, jak lud podkarpacki, wśród którego się wychował, jego życie, zwyczaje, obrzędy, lub wojsko polskie z 1809 r. Przedewszystkiem zaś pamiętnik daje nam to, czego nie dadzą całe tomy studjów naukowych, charakterystyk

http://rcin.org.pl

epoki, boć w nim przekazał Brodziński nietylko wiadomości o wypadkach, ale przechował i woń owych czasów; sam patrzał na to wszystko, stąd też obraz chwili tak pewną ręką kreślony, w niczem niesfałszowany.

Największe pod tym względem znaczenie, wartość istotnie dokumentu, posiadają zwłaszcza dwa rozdziały: obraz ówczesnej szkoły galicyjskiej i nastroju społeczeństwa polskiego w r. 1809. Nic chyba lepiej nie uświadomi młodzieży dzisiejszej niedoli jej pradziadów i szczęścia jej samej, jak te karty martyrologji dzieci polskich, które zestawić można chyba z opisem szkoły pruskiej u Sienkiewicza *(Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela)* i rosyjskiej u Żeromskiego *(Syzyfowe prace)*. Z opisu roku 1809 tchnie znowu naprawdę ówczesny zapał patrjotyczny, ów powiew wolności, który ogarnął i ożywił całe społeczeństwo; zwłaszcza atmosfera Krakowa w chwili wyjątkowej, odzyskania niepodległości, uchwycona, oddana doskonale.

Ustępy takie każą naprawdę żałować, że Brodziński nie prowadził swych *Wspomnień* dalej, że nie opisał życia Warszawy z czasów Królestwa Kongresowego. Największą wartość miałby oczywiście obraz ówczesnego ruchu literackiego, opisanego przez świadka, biorącego w nim udział tak wybitny, a przecież bezstronnego. Obraz Towarzystwa przyjaciół nauk i jego zasłużonych pracowników, lub walki klasyków z romantykami i najwybitniejszych jej aktorów, usunąłby już dawno wiele plączących się jeszcze nawet po dziś dzień legend, pozwoliłby na sprawiedliwszy sąd o zasługach i błędach zarówno starych, jak

http://rcin.org.pl

i młodych. — Niestety, zachowały się z tych lat tylko drobne okruchy *Wspomnień*: a przecież i w tym szczątku zwierciadła odbija się interesująco nastrój Warszawy z 1815 r., owo odradzanie się wśród tysięcznych trudności ruchu umysłowego i literackiego, oraz kilka sylwetek jego reprezentantów, szkoda że tak mało wybitnych, jak Tymowskiego, ks. Szaniawskiego i Kolberga.

„Wspomnienia" jako utwór literacki. Kto wie, czy nie jest to — obok *Wiesława* — najpiękniejszy, najświetniejszy pod względem artystycznym utwór Brodzińskiego. Bo najpierw — jest to przecież autoportret, który udał się naprawdę świetnie, psychologicznie prawdziwy i znakomicie wycieniowany. Wystarczy tu przypomnieć choćby obraz duszy dziecka, owej tęsknoty, smutków, najdelikatniejszych poruszeń serca biednego chłopczyka-sierotki, tak bardzo czułego, wrażliwego, spragnionego miłości, dobroci, a tak zupełnie i okrutnie tego wszystkiego właśnie pozbawionego, zda się wydziedziczonego z wszelkiej radości życia. Albo obraz budzenia się umysłowego, więc owych pierwszych nieokreślonych niepokojów, odczucia jakichś potrzeb umysłowych, a potem zkolei — pragnienia kształcenia się, głodu książek, zapału dla literatury i wreszcie rozmiłowania w poezji; lub owe chwile budzenia się talentu poetyckiego, uświadamiania sobie skrzydeł i tak rozkosznych pierwszych wzlotów. Trudności ogromne a ustawiczne zapał ten tylko potęgują, więc to klasyczny obraz rozwoju natury i talentu poety wśród przeszkód, a może nawet właśnie dzięki nim. I wreszcie — najświetniejszy ze wszystkiego

http://rcin.org.pl

zapewne obraz natury, usposobienia Brodzińskiego, a przedewszystkiem owej nieśmiałości, jej objawów i skutków, nieśmiałości, która miała być klęską jego życia całego. Wszystko to razem składa się przecież na portret pełen życia, prawdziwe arcydzieło Brodzińskiego. Do treści dostraja się zaś godnie forma. Nie starał się autor wcale o jej świetność, wszak pisał w chwilach wypoczynku, dla siebie i najbliższych tylko, pisał tak, jakby to córce wprost opowiadał. Ale właśnie urok i piękno, artyzm *Wspomnień* — w tej nadzwyczajnej prostocie, naturalności opowiadania, a także w ich tonie, wolnym od wszelkiej przechwałki, chęci popisu, w owej budującej, nie fałszywej wcale skromności, gdy mówi o sobie.

Brak zaś wszelkiego patosu, egzaltacji, nie oznacza bynajmniej obojętności. Uczucie autora zaznaczyło się w utworze wyraźnie; wypowiada się ono rzadko wprost (tu należą wynurzenia o matce i o ojczyźnie, o ludzie naszym itp., które powinnyby wejść do czytanek szkolnych), częściej zato pośrednio, jako humor bardzo delikatny.

Jest to uśmiech rzewny i spokojny człowieka już starszego, gdy patrzy na swe minione życie, które zapowiadało się tak smutnie, a przecież dzięki wysiłkom, nadludzkiej pracy, zapałowi i energji, o jaką sam nie zwykł był siebie podejrzywać, ułożyło się pięknie. Osiągnął więcej, niż mógł był marzyć przed laty; i w całem tem życiu niema niczego, coby chciał wykreślić, czegoby musiał się wstydzić. Im trudniejsze były warunki, smutniejsze okoliczności, tem więcej zasługi. Więc patrzy na te lata minione z uczuciem

http://rcin.org.pl

miłem: nie jest to duma, bo na to serce jego zbyt czyste; ani nie radość, szczęście, bo jednak wycierpiał zbyt wiele, bolesne przejścia tylu lat wyczerpały, znużyły go bardzo i rzuciły już na całe dalsze życie jakiś cień smutku i powagi. Ale smutek, który jest cechą istotną natury naszego poety, jest tu bardzo złagodzony; mimo wszystko, nawet mimo ciężkich warunków i przejść po r. 1831, zdobywa on się — na pogodę. A obok powodów wyżej wskazanych — najważniejszym może czynnikiem takiego nastroju jest myśl o tej, dla której te *Wspomnienia* pisze, o ukochanej córce. Jak jej zawdzięczamy wogóle powstanie tych pamiętników, tak, zdaje się, miłość i szczęście ojcowskie nastroiło je na ów ton pogodnego humoru, który dodaje *Wspomnieniom* tyle uroku.

Dziennik wojskowy z 1813 r. ma zupełnie inny charakter i zgoła w czem innem leży jego wartość. Jak tam zupełna dojrzałość, pełnia artyzmu, tak tutaj sama młodzieńczość, naiwność; tyle tu niedojrzałości właśnie, niedoskonałości artystycznej, powiedzmy otwarcie nawet nieudolności często, zwłaszcza w owych dziecinnych tyradach i słabych wierszykach, jakiemi młody porucznik reaguje na wielkie wydarzenia tamtych lat. Nic w tem zresztą dziwnego: wszak pisał to młodzieniaszek, który tak niedawno dopiero zaczął się rozwijać i był zupełnym niemal samoukiem. Widać, że dopiero te wielkie wypadki pobudzą dalszy rozwój, przyśpieszą go, przedewszystkiem zaś dopiero później atmosfera warszawska i studja tak usilne dadzą mu dojrzałość i wykształcenie, wiedzę naprawdę gruntowną. Ale też wartość *Dzienniczka*

http://rcin.org.pl

właśnie w tem, że pozwala się przyjrzeć, jakim był Brodziński przedtem, w r. 1813; jest to wierne, bo współczesne, świadectwo, żywy pomnik uczuć i myśli, usposobienia i rozwoju jego z lat owych właśnie przełomowych.

A mimo całej różnicy tonu i nastroju przegląda przecież z *Dziennika* ten sam człowiek, którego poznaliśmy we *Wspomnieniach*; tak samo skromny i nieśmiały, rozkochany w poezji i nauce, a przedewszystkiem uczuciowy, smutny, wrażliwy, marzycielski. Ten sam też stosunek do świata i ludzi, do wypadków politycznych, do Napoleona, do wojen; widać, jak miłość ojczyzny skłoniła go do najcięższej ofiary: chwycił za broń człowiek najmniej chyba nadający się do służby wojskowej. Z tego wszystkiego wynika, że *Dziennik* jest także znakomitem potwierdzeniem wiarygodności i dokładności obrazu, niejako autentyczności portretu odmalowanego w *Wspomnieniach.*[1]

---

[1] Zwróćić należy tu uwagę, że poetyckie przetworzenie niektórych ustępów *Dziennika*, albo raczej poetycki skrót całości, dał Brodziński w wierszu niebawem (w 1814 r.) pisanym *Na śmierć księcia Józefa Poniatowskiego*, którego jednak nie wykończył i wcale nie drukował (por. K. Brodzińskiego *Nieznane poezje*, wydał Al. Łucki, 1910, str. 38—46). Interesujące i pouczające dla poznania techniki tworzenia u Brodzińskiego jest porównanie analogicznych ustępów w obu tekstach. Wiersze z *Dzienniczka* wplecione są miejscami bez zmian (por. np. ww. 145—8), toż historyczny rozkaz ks. Józefa z 6 V. 1813 r. odtworzony niemal dosłownie (por ww. 121—4, 133—142), lub opis zabawy wojska na urodziny Napoleona (ww. 179—184(8).

http://rcin.org.pl

Ale *Dziennik* posiada również wartość historyczną, jako bardzo szczegółowy opis wyprawy ks. Józefa z Krakowa pod Lipsk w 1813 r. Obraz to chwili smutnej, gdy nadzieje niedawne tak okropnie zawiedzione, gdy przyszło gorzkie rozczarowanie; nie zdołało ono przecież złamać hartu ani honoru; cała ta wyprawa, to akt poświęcenia niemal już beznadziejnego, dotrzymania wierności cesarzowi wbrew wyrachowaniom politycznym. Na tem właśnie tle rysuje się pięknie sylweta wodza, szlachetnego ks. Józefa, oraz wojska, dostrajającego się do tak idealnego tonu swego przywódcy. Wartość dokumentu mają szczegóły o posuwaniu się korpusu, o misji Sokolnickiego, a zwłaszcza piękny rozkaz ks. Józefa w chwili wyruszenia ze Skotnik, z 6 maja 1813 r.

IV

TEKSTY

Z tego, co powiedziano w ustępie o losach pamiętnika po śmierci Brodzińskiego, wynika, że mamy dzisiaj do wyboru kilka tekstów *Wspomnień*. I tak — dla części pierwszej mamy druk z 1844 r. (powtórzony w 1845 i w wydaniu Tretiaka z 1901) oraz kopję sporządzoną dla Fr. S. Dmochowskiego (rkp. Bibljoteki Jagiellońskiej nr. 4603); dla fragmentów części drugiej — dalszy ciąg owej kopji Dmochowskiego oraz tekst wydrukowany, z innej kopji, przez Gubrynowicza w *Pamiętniku literackim* 1905.

Bliższe rozpatrzenie się w tym materjale i porównanie tekstów pozwoliło ustalić ich stosunek i wartość jak następuje. Tekst części pierwszej, drukowany w r. 1844, uległ w wielu miejscach skróceniom; skreślenia wyrazów, zdań czy nawet całego ustępu dokonał albo wydawca z obawy

http://rcin.org.pl

przed cenzurą, albo sama cenzura; nadto zaś w odpisie do druku, lub podczas druku, zakradły się bardzo liczne pomyłki, psujące tekst w wielu miejscach. Dmochowski dotarł do samego autografu, mimo to jednak kopję do druku (zamierzonego, ale niewykonanego) kazał sporządzić nie wprost z rękopisu, lecz z druku z 1844 r. (wskazują to wyraźnie te same opuszczenia i błędy w kopji, co i w druku z 1844 r.) i dopiero sam, kolacjonując gotową kopję z autografem, poprawiał owe błędy druku oraz dopisywał to, co tam opuszczono (przyczem ustępy dłuższe dopisane znowu ręką nie jego, lecz kopisty).[1] Wreszcie temuż kopiście kazał Dmochowski dopisać cały niedrukowany jeszcze wówczas urywek drugiej części *Wspomnień* wprost z autografu.

Wobec takiego stanu rzeczy podstawą niniejszego wydania może być oczywiście tylko owa kopja, poprawiona przez Dmochowskiego według zaginionego dziś autografu; tylko w kilku miejscach, gdzie w tekście kopji są zmiany na gorsze (w stosunku do druku z 1844), zresztą zupełnie drobne i błahe, wprowadzam brzmienie z druku 1844 r., gdyż należy tu przyjąć błąd kopisty przy przepisywaniu z owego druku, niezauważony przez Dmochowskiego (w kilku innych bowiem miejscach Dmochowski takie błędy zauważył i przywrócił tekst taki, jak w autografie i druku z 1844 r.).

Uzyskany w ten sposób obecnie tekst jest ogromnym postępem w porównaniu z drukami dotychczasowemi. Przedewszystkiem mnóstwo poprawek drobnych, ale wcale nie obojętnych, oczyszcza go z pomyłek, błędów, zaniedbań, które byliśmy skłonni przypisywać Brodzińskiemu, jako piszącemu przecież dla siebie tylko i dla najbliższych, bez jakiejkolwiek myśli o druku, a które okazały się błędami i opuszczeniami kopisty czy zecera z 1844 r. Nadto kopja Dmochowskiego pozwala nam uratować kilka ustępów, które skazała na zagładę cenzura. Jeden z nich — to wspo-

[1] Cały ten proceder — to stała praktyka Dmochowskiego przy przygotowywaniu różnych tekstów do planowanego wydania pism Brodzińskiego.

http://rcin.org.pl

mniane już wyżej wyznanie miłości ojczyzny, jedyne wypowiedziane wprost w tym tak wstrzemięźliwym w słowach, wolnym od wszelkiego patosu czy popisu pamiętniku. Ustęp drugi, jeszcze ważniejszy, o zachowaniu się ojca Brodzińskiego na wieść o trzecim rozbiorze Polski; rzuca on zupełnie nowe światło na p. Jacka, którego we *Wspomnieniach* poznajemy już jako starca, dziwaka poczęści zniedołężniałego, ale który niegdyś był dzielnym obywatelem i gorącym patrjotą. A przytem ten wybuch rozpaczy na wieść o ostatecznej zagładzie ojczyzny mówi nietylko o nim samym, ale i o całej epoce, o ludziach ówczesnych, posądzanych później zbyt pochopnie o obojętność, chłód, niezdolność czucia czy tylko wyrażenia go na zewnątrz.

Do wydania fragmentów części drugiej *Wspomnień* wybrać należy tak samo kopję Dmochowskiego, gdyż tekst ogłoszony w 1905 r. oparty jest także tylko na kopji — i to, jak wykazuje porównanie, gorszej od poprawionej przez Dmochowskiego; u tego ostatniego jest też lepszy układ fragmentów.

Do *Dzienniczka wojskowego* z 1813 r. mamy dzisiaj, jak wynika z szczegółów podanych w I rozdziale, dwa teksty: jeden, ogłoszony w edycji Chodźki z 1812 r., i drugi, dwa razy obszerniejszy, zachowany w kopji Dmochowskiego (rkp. Bibljoteki Jagiellońskiej Nr. 4604 i druk w 1910 r.). Oba opierają się o tę samą kopję z autografu, dokonaną przez szwagra Brodzińskiego, p. Holly'ego, ale tekst z 1844 r. został skrócony przez wydawcę; oczywiście należy więc drukować tekst pełniejszy Dmochowskiego. Oprócz skróceń u Chodźki są jednak między obu tekstami jeszcze inne różnice; niektóre ustępy są inaczej wystylizowane lub nawet zredagowane, czasem poprzestawiane. Różnice takie są naogół charakterystyczne dla Brodzińskiego, który ustawicznie opracowywał, przerabiał swoje utwory; w tym wypadku są one jednak niezrozumiałe wobec faktu, że oba teksty mają być dosłownym odpisem z autografu Brodzińskiego przez Holly'ego, jak o tem zapewnia dopisek jego samego, identyczny w obu tekstach. — Przyjąwszy za podstawę tekst ob-

http://rcin.org.pl

szerniejszy Dmochowskiego, nie zaznaczam wcale skrótów u Chodźki ani nie podaję jego odmian, a tylko w przypiskach drukuję z jego wydania kilka zdań, których niema u Dmochowskiego.

Dołączona nakoniec *urzędowa autobiografja* Brodzińskiego, napisana w 1823 r. na żądanie Komisji rządowej wyznań religijnych i oświecenia publicznego, znajdowała się w Archiwum przy kancelarji kuratora szkół okręgu warszawskiego, w manuskrypcie noszącym tytuł: »Opis biegu życia profesorów i nauczycieli szkół publicznych w Królestwie polskiem. Lit. B.«. — Wydrukował ją najpierw Wójcicki w *Cmentarzu Powązkowskim* (tom II, str. 139—141), potem Arabażyn w dodatku do swej rosyjskiej monografji o Brodzińskim (1891 r.), Tretiak w wydaniu *Wspomnień* z 1901 r., i wreszcie Bieliński w dziele o Uniwersytecie warszawskim, tom III. Ten ostatni tekst, jako najpoprawniejszy, jest też podstawą niniejszego przedruku.

A. Ł.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

WSPOMNIENIA MOJEJ MŁODOŚCI

http://rcin.org.pl

WSPOMNIENIA
MOJEJ MŁODOŚCI

http://rcin.org.pl

Urodziłem się r. 1791[1] z ojca Jacka, z matki Franciszki Radzikowskiej. Od urodzenia tak byłem szczupły i słabowity, iż doktor przepowiedział rodzicom, że więcej nad tydzień na tej ziemi bawić nie mogę. Umarł on w parę tygodni po tej wróżbie, a pamiętam, iż dziecku jeszcze, pokazywano mi grób jego, po którym w zemście za tę wyrocznię skakałem. Jak później od ciotek i służących słyszałem, nie byłem od matki lubiony, szczególnie dla mojej słabowitej postaci, i najwięcej wrodzonej staranności wiejskich kobiet winien jestem moje dziecinne wychowanie.

Ojciec mój był naprzód plenipotentem starosty Fryderyka Moszyńskiego, w starostwie Lipnickiem[2] a później dzierżawcą tychże dóbr[3]. Do śmierci mojej matki mieszkał w Królówce, wsi tegoż starostwa, gdzie się urodziłem. Miejsce to, które się dziś milej nad wszystkie przedstawia mojej pamięci, jest istotnie piękne ze swojego położenia. Dwór staroświecki z narożnikami i z ogrodem w jak najprościejszych szpalerach.[4] Po jednej stronie staw obszerny, wokoło którego rozległe trawniki rzędami lip wysadzone; za niemi góry ozdobione rozrzuconemi chatami, drzewami owocowemi wszelkiego rodzaju, a najwięcej zasadzone chmie-

[1] 8 marca.

[2] W powiecie bocheńskim. Wyraz starostwo użyty tu w znaczeniu dawnem, z czasów Polski niepodległej (= dobra królewskie). Lipnica — miasteczko, od którego całe starostwo miało swą nazwę.

[3] Zdaje się od 1794 r.

[4] Dwór ten spłonął przed kilkudziesięciu laty.

lem, który umajając gęsto sadzone tyki, całej okolicy postać winnicy nadawał. Na wschód łąka w nizinie, często wodą zalewana, przez którą długie ławki do prostego wiejskiego kościółka prowadziły. Kościółek ten stary, drewniany, otoczony cmentarzem i lipami, oddalony od wsi, na wzgórku, miał postać dziwnie malowniczą.

Dziecinną moją zabawą było najwięcej nabożeństwo. Mieliśmy w jednej wielkiej i pustej sali ołtarz wzięty umyślnie do tego ze zburzonego w sąsiedztwie kościoła; najstarszy brat mój, Andrzej [1], jedyny rodziców kochanek, był zawsze celebrującym, my mniejsi szczęśliwi, żeśmy za nim z dzwonkami chodzili. W dniach oznaczonych naśladowaliśmy wszelkie uroczystości kościelne: dzieci wiejskie składały naszą osobną parafję, a święto Bożego Ciała, Znalezienie św. Krzyża, obchodzone było procesją najuroczystszą w kapach ze złotego papieru i t. d. Aż przez emulację o pierwszeństwo w procesji, starszy odemnie brat w rzeczkę wtrącony został, poczem nie mieliśmy w naszych obrzędach tyle wolności.

Matki mojej wcale nie pamiętam; miałem lat pięć, [2] gdy mnie odumarła. Jedyna scena, którą z dziecinnych lat moich najżywiej pamiętam, jest pogrzeb mojej matki. Jej postać w trumnie aż do ubioru, do katafalku, na którym złożoną była, i do pieśni, które ubodzy nad jej ciałem przez dwa dni śpiewali, pamiętam jakby zdarzenie wczorajsze; równie jak przepowiednię księdza, który wtenczas do nas powiedział:

---

[1] ur. 26 IX 1786, zginął w 1812 r., w bitwie nad Berezyną. Ogłosił w 1807/8 r. zbiorek wierszy p. t. *Zabawki wierszem*, nadto przełożył na język polski *Dziewicę Orleańską* Schillera (wydał po jego śmierci, wraz z innemi jego wierszami, brat Kazimierz w 1821 r.). O jego roli jako mentora i opiekuna Kazimierza mowa w dalszym ciągu *Wspomnień*.

[2] Pamięć zawiodła tu Brodzińskiego; matka jego umarła 9 IV 1794 r., gdy miał 3 lata.

http://rcin.org.pl

Dzieci! będzie was biła macocha. Ksiądz ten w tydzień po mojej matce umarł. W późniejszych latach służące i kobiety wiejskie wiele mi o dobroci matki opowiadały, co najwięcej słuchać lubiłem, i im jedynie winienem to przywiązanie do niej, z którą, zdaje mi się dotąd, że żyję. W najsmutniejszych wypadkach późniejszej młodości mojej zawsze się do niej, jako do patronki, modliłem; jej postać umarła, którą jedynie pamiętam, zawsze mi smutne i pełne uszanowania czyni wrażenie.

Po długiej chorobie zaczęła być zdrowszą, a na jej imieniny zjechali się dość liczni sąsiedzi, by jej ozdrowienia winszować; była wesołą i trudniła się wygodą gości, a w wieczór na godzinę tylko oddaliwszy się do łóżka, w dzień imienin swoich umarła. Miałem jeden sen o niej, który na długo żywem uczuciem mię przejął. Byłem w wielkim kościele, gdzie ona na chórze, w ubiorze w jakim w trumnie złożoną była, wśród tłumu podobnych jej bladych niewiast, mnie ręką do siebie wzywała. Wnet znalazłem się na chórze, a równie jej uściski jak niewiast, które ją otaczały, dziwną mnie upoiły rozkoszą, gdy nagle ogromny głos od ołtarza *Requiescat in pace*, który długo brzmiał w moich uszach, sen mój zakończył. W dziecinnym bardzo wieku napisałem elegję do cieniów mojej matki, której wcale nie znałem; wiem, że ją płacząc pisałem i w nocy na oknie, tylko przy świetle księżyca.[1] Brat mój Andrzej zawsze mi to pismo moje wychwalał.

Nie wiem czy kto, choćby najtkliwszej miłości macierzyńskiej doznawał, mocniej czuł nademnie, co to jest matka! Imię matki od lat najmłodszych było dla mnie świętem nazwiskiem. Widok moich współuczniów, a później młodzieńców przy matkach, napełniał mię rzewnem uczuciem. Nie mogłem utulić się

[1] W r. 1805, podczas pobytu w Rajbrodzie (por. dalszy ciąg *Wspomnień*).

http://rcin.org.pl

ze smutku, który się cisnął w me serce, gdym widział lub słyszał wyrazy troskliwości i przywiązania macierzyńskiego. Nietylko dla matek, ale i dla współuczniów moich, których obok matek widziałem, miałem jakiś dziwny rodzaj uszanowania. Uważałem synów mających matki, choćby daleko uboższych odemnie, za jakieś wyższe, do szczęścia przeznaczone istoty; kochałem ich więcej dlatego, że ich matki kochały. Wiele samotnych, nikomu nieznanych łez mnie kosztowało, gdym widział dzieci od matki pocałowane. Może to było dziecinne, przesadzone uczucie, ale go pojmie ten, kto lat dojrzałych doszedłszy, nie znał, co to jest uścisk rodzicielski! Pragnąłem zawsze i mniemałem w sercu, że zasługuję na miłość u kogoś, ale do późnych lat żadnej nie doświadczyłem. Nie mieć matki, która jedynie wychowanie serca dać może, nie mieć istoty, przed którą możnaby się szczerze ze wszystkiemi dziecinnemi fraszkami, z onemi pierwszemi uczuciami wywnętrzyć, to jest, co nam najwięcej nadaje owo czucie w sobie samym się trawiące, ową nieśmiałość do ludzi, a najbardziej niebaczność na swoje postępowanie, od drobnych nałogów, marzeń i przykładów zacząwszy. Do dziś dnia czuję to w sobie, i gdybym jeszcze znalazł taką istotę, ręczę, że spowiadałbym jej się jak dziecię ze wszystkiego, we wszystkiem byłbym jej posłuszny. Do dziś dnia nie czuję w tym względzie żadnej męskiej wyższości i dojrzałego wieku, każda kobieta, tytułem matki ozdobna, ma odemnie jakąś cześć miłości synowskiej. Zdaje mi się, że jest potrzebą człowieka, żeby kochał swą matkę, że kto jej nie ma, upatruje ją wszędzie i we wszystkiem chce ją sobie nagradzać. Do znanej matki tęsknimy w całem życiu, jak do ziemi, na której się nasze życie rozwijać zaczęło; o nieznanej marzymy, jak o raju lub o świecie obiecanym, a nagradzamy ją sobie, tworząc w myśli jak najdoskonalsze wyobrażenie. Nie miałem matki i ojczyzny. Obiedwie były dla mnie

http://rcin.org.pl

jednym i tym samym ideałem; żadna mię z nich nie wychowała, dla obudwu czułem dług wyższej nad wszystko miłości.[1]

Po śmierci matki, ojciec mój przeniósł pomieszkanie do Lipnicy Murowanej [2] o milę od Królówki. Duże gospodarstwo i pięcioro drobnych dzieci zniewoliły go aż w sędziwym wieku szukać powtórnej małżonki. Wkrótce nieszczęściem ją znalazł. Gdy na miejsce plebana w Królówce, który wraz prawie z moją matką umarł, wielu się starało, jeden z nich najskuteczniej dopiął celu swojego, rając mojemu ojcu panienkę ładną acz ubogą na żonę. — Panienka się spodobała, ojciec dostał żonę, my macochę, a ksiądz plebanją, i na tem wyszedł nierównie lepiej. — Anna Fichhauzern była najuboższą z licznej i dość majętnej familji w Galicji. Młoda i brunetka, skromna i pokorna z początku, stała się wnet pysznym aniołem i cały dom w piekło zmieniła. Nie mogę, i niktby mi zapewne nie uwierzył, gdybym opisał wszystko, do czego kobieta ze starym i z natury powolnym mężem dojść może. W przeciągu kilkunastu lat stała się postrachem, nietylko domu, ale całej wsi i okólnych sąsiadów. Pijaństwo obok najgwałtowniejszych passyj; brak wszelkiej znajomości świata obok wielomowności; chciwość robienia majątku niegodziwemi sposoby, obok chęci okazałości, duma na swój ród, od którego była nienawidzoną, były to jeszcze lekkie jej niedoskonałości.

Mój ojciec powolny, skąpy, ale jak najmniej gospodarny, ceniący spokojność, choćby z ofiarą wszelkiego dobra, w domu nic nie znaczący, łagodny i względny dla każdego, a z natury najcierpliwszy, gorszą niż Sokrates szkołę tej cnoty przebył u swojej Ksantypy.

---

[1] Ostatnie dwa zdania, skreślone przez cenzurę w 1844 r., nie były nigdy dotąd drukowane.

[2] Wieś, którą należy odróżnić od miasteczka tej samej nazwy.

http://rcin.org.pl

Umiała ona wszelką intratę z dóbr na swoją tylko korzyść obracać, i z majątku męża osobny zbierać dla siebie: procesa z gromadą, z plebanem, z sąsiady, z każdym, o kogo można było zahaczyć, prowadziła najzapamiętalej. Dom stawał się zbiorem owych nikczemnych dawnych czasów prawników, którzy ją tyle swojej sztuki wyuczyli, że ich znowu w łapki prawnicze chwytała. Perjody jej wściekłości, które często nadchodziły, wystawiały obraz furji piekielnej; nikt wtedy, winny czy niewinny, gość czy parobek, dzieci czy mąż, w żadnym zakątku domu nie był bezpiecznym. Umiała równie głosem jak razami zagłuszyć. Sędziwy ojciec uchodził wtenczas w pole, śpiewając łacińskie psalmy, myśmy się pod niego tulili. Kryzys takową zakończało powszechnie bolenie serca, i pleura,[1] w której krzyk na całą wieś się rozlegał. Plagi, bicie wieśniaków i służących, rzucanie sprzętów za ojcem, pakowanie rzeczy do pojazdów, w celu porzucenia niby na zawsze ojca, lub najmniej przenoszenie jej pościeli od łoża małżeńskiego, były to zwykłe dzienne i wieczorne zabawy.

Łatwo sobie wystawić, jakie wychowanie ta druga matka mogła dać swoim pasierbom. Siostrę moją najstarszą wysłał ojciec do krewnych, my czterej mali chłopcy musieliśmy w domu pozostać.[2] Mało znaliśmy, co to jest być w pokoju rodziców. Izba czeladnia i chaty wieśniacze to był najczęstszy nasz pobyt. Chorując na chrosty, leżeliśmy wszyscy w małej izdebce kuchennej, i nikt ze służących bywających w pokoju nie mógł się do nas przybliżyć, aby nie zarazić siostry z powtórnej żony. Umarł starszy mój brat,[3] my wyzdrowieliśmy staraniem wieśniaczek, które żaląc się

[1] atak kolki.

[2] Rodzeństwo Kazimierza — to starsi od niego: Honorata, Andrzej, Stanisław — i młodszy od niego Piotr.

[3] Stanisław.

http://rcin.org.pl

sierot, same przybywały nas ratować i opatrywać. W ubogiej historji życia, jak moje, zasługuje na wspomnienie jedna z najpoczciwszych kobiet, którą tylko pod nazwiskiem Róży pamiętam. Jakżebym rad lepiej ją nagrodzić! Była to stara kobieta, wieśniaczka, można powiedzieć nasza jedyna matka, która za życia matki wszystkich nas wypiastowała. Ta znosiła od macochy mojej tysiączne łajania, kułaki i służbę najprzykrzejszą, jedynie z przywiązania do nas, gdy, jak mówiła, matka ją w chorobie prosiła, aby nad nami miała opiekę. Czyniła ona wszystko, co mogła, na swój stan i rozum. Pokój cieniom twoim, zacna kobieto, godna czci u zacnych ludzi! Ona w ukryciu zastępowała nam matkę, jej jedynie winienem, co wiem o niej, gdyż to była jej najmilsza z nami rozmowa.

Cierpiałem wszelkiego rodzaju niegodziwości macochy, i nie znałem prawie, co to jest mówić z ojcem, gdyż chociaż nie surowy, ale zawsze był mało mówiący i daleki od dzieci; nie miałem żadnego bliższego dozoru, gdyż nadto byłem w wychowaniu zaniedbany, abym się do kogoś ośmielił lub stał się powabnym; byłem, mogę powiedzieć, dzieckiem natury do jedenastego roku. Przecież, jeżeli wspomnienie chwil tego wieku jest każdemu przyjemne, dla mnie jest najmilsze. Zostawiony zupełnie sobie samemu w wieku, w którym ta wolność mniej szkodzi, używałem świata w prawdziwem tego słowa znaczeniu, świata jaki mnie otaczał. Wtenczas o niczem lepszem nie wiedziałem, i dlatego zdaje mi się, że potem nigdy nic lepszego nie użyłem. — Używałem życia wiejskiego w prawdziwem tego słowa znaczeniu. Byłem wolny w używaniu mego czasu, gdyż prawie nikt nie pamiętał o mnie, a cenę tej wolności znałem, gdyż ona była skutkiem i ucieczką od srogości macochy. Jakkolwiekbądź, muszę ci[1] tę

[1] Jak wspomniano we *Wstępie*, Brodziński pisał te *Wspomnienia* dla swej córki Karusi.

http://rcin.org.pl

siełankę mojego życia opisać. Miała ona wielki wpływ na mój los i na mój charakter.

Lipnica Murowana, jak wszystkie okolice w górach, ma nader piękne położenie. Dworek, w którym ojciec mój mieszkał, leżał w dolinie otoczonej rzeką niewielką,[1] która z góry spadając, za każdym deszczem wzbierała, a po kamienistem łożu z podnóża gór i skał płynąc, szum wielki wydawała. Chaty, rozrzucone na górach między sadami, czarujący w jesień dawały widok; ku wschodowi od dworku była za podwórzem i stawem rozległa łąka, na której mała krynica, zarośnięta krzewem i wzniosłemi ziołami różnej barwy, była siedliskiem ptactwa i motylów. Młyn wodny za tą łąką napełniał łoskotem tę cichą dolinę, a rozległe za nim trawniki, rzędami wierzb wysadzone, napełniały się mnóstwem dzieci wiejskich, których piszczałki i śpiewanie rozweselały powabną ciszę owego miejsca. Pobok rozciągały się pasma gór coraz wyższych, a w pogodny ranek wzniesione ku niebu Karpaty zdawały się być granicą ziemi. Droga grzbietem gór idąca, piękny czyniła widok przeciągających wozów. Za polami piękny las jodłowy, który się w nizinie gubił. Po drugiej stronie dworu dwa dęby nadzwyczajnej wielkości panowały całej osadzie. O kilkanaście staj widać na wzniesieniu miasteczko Murowaną Lipnicę z trzema starożytnemi kościołami, ku któremu droga wierzbami wysadzona i ścieżka przez piękną łąkę i cmentarz idąca.

Widok tego miasta miał dla mnie zawsze jakąś odrazę. Była tam szkółka elementarna,[2] do którejśmy z bratem[3] uczęszczać musieli. Ulewy, zaspy śniegu nie mogły nas od przykrej podróży uchronić; w zimie

---

[1] Rzeczka ta zwie się Norwica.

[2] Była to szkółka trywjalna, t. j. z 3 klas złożona, oczywiście niemiecka.

[3] t. j. z najmłodszym, Piotrem, gdyż Stanisław już nie żył, a Andrzeja oddał ojciec do Tarnowa.

http://rcin.org.pl

była to wyprawa na cały dzień z kawałkiem chleba, w którego środek włożono kawałek masła. Nie znam straszniejszego nauczyciela nad tego, któregośmy mieli;[1] miał włosy pudrowane, wystrzyżone zupełnie z przodu, ogromny warkocz i długie fryzowane loki, które mu uszy zasłaniały, co przy spiczastem czole szczególną figurę czyniło, i różniło tego człowieka od wszystkich ludzi, jakich widziałem. Długa wyszywana kamizelka i surdut z klapami po kostki u boku, a od ogromnego warkocza cały w tyle zbielony,[2] przy powolnym i pedanckim chodzie, jednał mu od nas dziwne uszanowanie. Ogromne oczy i wargi niezmiernie wypukłe panowały przecież nad nosem szerokim. Żona jego mogła być śmierci wyobrażeniem; nosiła zawsze białą suknię ze stanem jak najdłuższym, który jej cienką figurę dziwnie wydatną czynił. Okropny był widok, gdy często w dzień pogodny na progu siedząc, obcinała brzezinę, a długie rózgi w cebrzyk wodą napełniony składała. Tę brzezinę sam pan profesor zwykł był ze spaceru przynosić. Brzezina była u niego najważniejszym punktem pedagogiki.

Umeblowanie szkoły miało widok okropny. W środku wisiał wielki drewniany krucyfiks; za ręce i za nogi Chrystusa i na gwoździach zatknięte były świeże rózgi, kilka prętów i dyscyplina. Był to wizerunek szkolnej pasji.[3] Pan profesor, wszedłszy do szkoły, zawsze z groźną miną wprzód do owego składu rózg przystępował; wprawne próbowanie rózg wydawało świst przerażający, poczem uzbrojony tem berłem, zaczynał z nami modlitwę; można się domyślać, że takowa modlitwa z największą odbywała się skruchą i z prośbą o oddalenie niebezpieczeństwa. Pan profesor miał często dziwny humor do bicia dzieci; bicie rózgą w rękę

[1] Niejaki Marcin Dębski.
[2] oczywiście od pudru.
[3] t. j. męki.

http://rcin.org.pl

za każde zająknięcie, za każdą mylkę w pisaniu, były wiernie każdemu wyrachowane. Pokładanie na środku zabierało dużo nudnego czasu, kara ta chłopca odbywała się w obecności płci obojej, dziewczęta prowadzone były do osobnej komórki. Pan profesor, będąc razem pisarzem magistratu, często w czasie lekcji był odrywany; był to czas najwyższej swawoli, bez różnicy płci obojej. Młodzież składała się z miejskich i wiejskich dzieci. Partja mieszczan była najgorsza i najsilniejsza; wiejskie dzieci musiały być skromne, a my najwięcej, gdyż nas jako szlachciców prześladowano.

Dniem najokropniejszym była zawsze sobota. Na ten dzień przeznaczonym był zawsze katechizm dawany po niemiecku, w którym ani treści rzeczy, ani języka nie rozumieliśmy wcale. Mało kto był, często nikt, żeby za katechizm chłosty ujść zdołał. Trwogę i cichość i roztargnienie, jakie w ten dzień panowały, trudno opisać. Każdy zapytany po pierwszem zająknieniu występował na środek klęczeć, a tak całe ławki się wypróżniły; wszystko klęczało czekając w największej trwodze ostatniego, który ma być na to miejsce egzekucji wskazanym; poczem nastąpił generalny płacz i prośby, wśród których każdy podług wieku odbierał przeznaczoną mu ilość. Zamykano wtenczas okno, płakać głośno broniono, gdyż często zdarzało się, że matki, przechodzące lub blisko mieszkające, tę egzekucję mięszały.

W tej kochanej szkole przez 3 lub 4 lata będąc, prócz pisać i nieco czytać po polsku i po niemiecku, nic więcej się nie nauczyłem. Należąc do partji chłopców wiejskich, zabrałem z niektórymi prawdziwą przyjaźń, i im winienem szczęśliwe wiejskie zabawy. Co to za rozkosz była, po ukończonej szkole puścić się z nimi między góry i sady, dostać się po kilkogodzinnym głodzie i nudach na drzewo wiśniami lub gruszkami ciężące, pojeździć na onych maleńkich konikach,

http://rcin.org.pl

prowadzonych na paszę na dalekie dąbrowy, kąpać się lub [iść] do lasu i brodzić bosą nogą środkiem piaszczystej krynicy. W tych najmilszych zabawach z prostymi wieśniakami byłem najszczęśliwszy. W domu nikt się o mnie nie troszczył i nie miano mi też za złe, choć się najdłużej zabawiłem.

Życie takowe zrobiło mnie dzikim i nieśmiałym do osób wyższego stanu nad wieśniaków, ale wiele mu dobrego winienem. Ono rzeźwiło moje słabe z urodzenia zdrowie, przez nie nabrałem przywiązania do cnotliwych naszych rolników. Z jakąż rozkoszą przypominam sobie te chwile, gdy te chłopcy nauczały mnie konia dosiadać, iść za broną i umieć konia na inny zagon nawracać. Podczas mglistej jesieni trawiłem często późne wieczory przy kopaniu kartofli, lub przy pasterzach, gdy przy ognisku piekąc kartofle bajki opowiadano, które naówczas składały dla mnie jedyną literaturę i dziś może wdzięki by miały, gdybym je równie słyszał opowiadane. Przez zabranie szczególnej przyjaźni z synem jednego garncarza, nabrałem wiele chęci do tego rzemiosła; dozwolono mi często tej zabawy, a cnotliwy wieśniak, ojciec mojego kolegi, widząc we mnie niepospolitą ochotę i zdolność, troskliwie mnie do swojego stanu zachęcał, mówiąc: iż lepiej swobodnie pracować, niż być sierotą u macochy, która mię dziś zupełnie zaniedbuje a po śmierci ojca z domu wypędzi.

Wieśniacy tych okolic, obok naturalnego rozumu i dobroci, więcej mają oświecenia, są porządniejsi i trzeźwiejsi niż w innych prowincjach Polski. W górach mniej znają nieszczęścia wojny, nie doznają kwaterunków niszczących moralność i prostotę obyczajów; handel fruktami, chmielem i płótnem, a najwięcej czynszowe tylko opłacanie gruntu, czyni ich zamożnymi, tak że majętnym liczą do kilkunastu tysięcy złotych. Ojciec mój mało zasiewał gruntu, ubogim wyrobnikom i oddalonym ze służby żołnierzom przeznaczał

http://rcin.org.pl

pole na swojem wójtostwie i chaty z małemi bardzo obowiązkami. Wdzięczność tych ludzi i przywiązanie ich do ojca i do nas były bez granic. Żadna wieśniaczka ani chłop nie przyszedł do dworu, żeby nam tajemnie przed macochą owoców lub kukiełek z jarmarku nie przyniósł. Żniwiarki pieściły nas i obsypywały jabłkami. Dla sierot i dzieci opuszczonych w tem wielkie jest szczęście, że interes innych osób wzbudzają. Ta opieka i troskliwość, acz prostych ludzi, budziła we mnie chęć podobania się każdemu, być zawsze uprzedzającym i wdzięcznym, a nawet próżność, żeby przez swój los wzbudzić na siebie uwagę i być jej godnym.

W lecie była naszem mieszkaniem stodoła; obok mieszkał staruszek ze swoją żoną, zwany gospodarzem, do którego grunta dworskie i wszelkie gospodarstwo należało. Mała ich izdebka była naszem zwykłem zimowem mieszkaniem. Ciepła izdebka, zawsze na kominie palący się ogień, przy którym ci staruszkowie siedzieli, stawiają dziś w moich oczach mieszkanie Filemona i Baucis.[1] On był starym żołnierzem, ona kobietą, która sługiwała po dworach. Przyjemne to były wieczory, kiedy przy pieczeniu kartofli opowiadał o krajach włoskich i francuskich, w których biały chleb jadał i wino pijał, a ona rozwijała niewyczerpany zapas różnych powieści i tak zwanych gadek. Temu człowiekowi winienem, iż odtąd czułem zawsze tęsknotę do ziemi nieznanej, do podróży, której biedny stan mój wiele dodawał ochoty.

Jedna zima, której wieczory na podobnych trawiłem rozmowach, nabawiła mnie pierwszy raz w życiu owej prawdziwej niespokojności i tęsknoty, której podobno każdy człowiek mniej lub więcej doznaje. Opowiadania o pięknych krajach Włoch i Francji w tym

[1] Para staruszków, przykładnie kochających się i żyjących szczęśliwie, znana z mitologji klasycznej.

http://rcin.org.pl

sposobie, jak je mógł prosty żołnierz uważać i opisać, napełniło dziwnemi marzeniami mą duszę. Żona jego niemniej obudzała we mnie niespokojność, opisując różne zdarzenia przy dworach panów polskich: jak to młodzi ludzie i ubodzy odbierają od nich wychowanie, jak paradują, na koniach jeżdżą, jak dalekie podróże odbywają z panami, i tym podobne. Wszystko to było przypomnieniem obyczajów, które się już zmieniły, ale ja myślałem, że ten świat za górami tak jest szczęśliwy, jak mi go opisywano, i jak go sobie w niewinnej duszy wystawiałem. Życie moje przy macosze od wszystkich znienawidzonej, przy ojcu, który mało co o mnie wiedział, tem bardziej tę moją chęć do szukania szczęścia u świata zwiększało.

Zdaje mi się, iż gdybym był wtenczas *Odysseję* lub przynajmniej *Telemaka*[1] czytał, niby mię nie było mogło wstrzymać: w mej tęsknocie stałem się odtąd smutnym i zamyślonym, i to były pierwsze błogie łzy moje, których boleść z rozkoszą złączona jest urojoną. Szczęściem, że wtedy żadnych książek oprócz szkolnych nie miałem, że całą krainą mojej imaginacji były tylko powieści wieśniacze, które do mojej tęsknoty dużo się przyczyniły, nie mogły mnie jednakże całkowicie obłąkać. Im się bliżej ku wiośnie miało, tem więcej mój umysł był niespokojny. Nakoniec z młodym[2] bratem zaczęliśmy układać projekt tajemnego wybrania się z domu, i puszczenia się w świat na Bożą Opatrzność. Wszystkie dwory i zamki, o jakich słyszałem, jakie sobie w wyobraźni tworzyłem, stały mi przedoczyma we dnie i w nocy. Często wdarłszy się na dąb lub dach folwarku, dumałem o szerokim świecie i przeglądałem widnokrąg, jak daleko go okiem za-

---

[1] *Télemaque* (1699) jest to powieść napisana przez Franciszka Fenelona (1651—1715).

[2] Tak w rękopisie i druku, zapewne przez pomyłkę, zamiast: młodszym.

http://rcin.org.pl

sięgnąć zdołałem. Codzień nabierając chęci do wykonania zrobionego planu, czuliśmy jednak potrzebę zwierzenia się komuś, za mentora więc naszego obraliśmy starego gospodarza, jemuśmy wszystko opowiedzieli. Człowiek ten prosty pochwalił prawie nasz zamiar, jeszcze nas więcej do niego zachęcał, a tak nic nam już więcej nie zbywało. Namienił jednak konieczną potrzebę pieniędzy, podał nakoniec środek ich nabycia, który, dla osiągnięcia skutku naszych życzeń, nie był dla nas okropnym. Ojciec, odbierając co kwartał raty czynszowe, składał w osobny kufer trzygroszniaki węgierskie z obrazem Marji na jednej stronie. Było tej miedzi do pół kufra, który stał w osobnym niezamieszkałym pokoju, a my znosiliśmy do niego opałeczki uzbieranej miedzi. Gospodarz uczynił nam uwagę, iż te pieniądze są bardzo szczęśliwe dla tego, kto je mieć może, że mają władzę cudowną. Że ojca prosić o nic nie można, boby się nasz zamiar wydał, zgoła żeśmy się wkrótce domyślili, jakby ich dostać. Za każdą więc zdarzoną sposobnością braliśmy po garstce cudownych pieniędzy, któreśmy tajemnie w ręce gospodarza składali. Ten nie przestawał nam opisywać przyjemności naszej podróży, a co nas najwięcej cieszyło, że sam uda się z nami, że on także z macochą wytrzymać nie może. Nie pamiętam, ileśmy mogli naszego funduszu uzbierać, ale wnet i układy nasze i bogactwo smutny koniec wzięły. Nasz gospodarz miał także swoje perjody, w których się przez dwie i trzy niedziele i więcej trunkowi oddawał; wysłany jednego dnia na jarmark o parę mil, zabrał nasz fundusz podróżny, błąkał się gdzieś ze trzy tygodnie, i do domu z niczem powrócił. Postępek nasz się wydał, ojciec nas tajemnie i łagodnie ukarał, a z gospodarzem zerwały się wszelkie dawne stosunki.

Domyślić się także można, że w towarzystwie, w jakiem żyłem, najwięcej między kobietami prostemi, nasłuchałem się różnych powieści o duchach, zabobo-

http://rcin.org.pl

nach i czarach, co miało tyle wpływu na moją imaginację, iż odtąd puściwszy wodze wyobraźni na czarne te kraje, jak dziecię sam własnych utworów się lękam. Dopomógł mi do tego bliski cmentarz, przez który musiałem zawsze do szkoły przechodzić. Kościółek drewniany, w środku tego cmentarza, nie wystawiał mi się inaczej, jak za siedlisko duchów, które tamże po nocy swoje uczty miewają. Zwyczaj chowania uboższych ludzi bez trumien i składania ich na cmentarzu pod parkanem dniem przed pogrzebem, które to trupy często widzieć musiałem, zrobiły mnie na zawsze trwożliwym.

Temu także życiu z wieśniakami winienem, o co oskarżyć się muszę, iż dotąd daleko łatwiej umiem postawić się w stanie prostych ludzi, niżeli wykształconych wychowaniem, z jakimi później żyłem. Kilku słów wieśniaków dosyć jest dla mnie, iżbym wszedł w ich uczucie. Więcej także dotąd umiem się postawić w stanie kobiet, niżeli mężczyzn; więcej mam skłonności rozważać ich skłonności i wsnuć się w ich marzenia, chociaż z niemi mało gdzie żyłem w ściślejszej przyjaźni.

Jednem z najprzyjemniejszych wspomnień mego dziecinnego wieku są wiejskie wesela, których najchętniejszym bywałem uczestnikiem. Prosty nasz lud nie ma nad to ważniejszej uroczystości. W wioskach tylko dochowały się jeszcze ślady dawniejsze pogańskich obyczajów; istniały one i w stanie wyższym, za najpiękniejszych czasów ojczyzny. U wieśniaków, w naszych stronach, trwa wesele blisko przez cały tydzień, a dzień każdy ma inne obrządki. Był piękny zwyczaj, że każde wesele przez jednę noc bawiło się we dworze, w którym nowożeńcy z całem gronem doznawali gościnności i zarówno się z panami bawiali. Muzyka, złożona z dwóch skrzypków i basisty, grywała codzień, przy rannej i wieczornej zorzy, na dobry dzień i na dobrą noc, a jeden z drużbów miewał oracje wier-

http://rcin.org.pl

szami, których treści już nie pamiętam, o stanie małżeńskim. Widzieć te druchny, w kwiatach na głowie i mnóstwie wstęgów różnego koloru na plecy spadających, rószczkę starosty, to jest, pięciogałęzią jodłę, umajoną rutą, stokrocią, jabłkami, orzechami i t. p., była dla mnie najmilsza uroczystość. Nie znałem wtedy żadnych innych zabaw ani uroczystości, a widok orszaku powiewającego na wzgórkach chustkami na laskach zawieszonemi, muzyka wiejska, radowały moje serce uroczystem uczuciem. Do dziś dnia wiejskie wesele nie jest dla mnie obojętne, i oburza mnie w duchu każdy wyraz wyższego stanu, gdy sobie dozwala żartować, lub okazuje obojętność na ten akt jedyny w życiu wieśniaka, który dla niego jest uroczystym. Do takich uroczystości wiejskich należą szczególniej święta religijne: dzień Bożego Narodzenia, pełny cudów, w którym, o samej dwunastej w nocy, przemawiać miały wszystkie zwierzęta, gdy bartogiem potrząsano podłogę i stoły, a po wsi wszędzie brzmiały wesołe kolędy, Boże Ciało, Matka Boska Zielna, a szczególniej dni krzyżowe, w których obchodziliśmy z procesją stare po górach rozproszone kaplice, śpiewając litanją do wszystkich świętych tem mocniej, że każde »zmiłuj się nad nami!« echo nam oddawało.

W Lipnicy urodził się błogosławiony Szymon,[1] sławny w zakonie Bernardynów krakowskich. Na cześć jemu jest wystawiony w miasteczku kościółek murowany, bardzo schludny, w którym parę razy do roku nabożeństwo bywało.[2] Ten święty, który uczniom bosemi nogami po węglach chodzić kazał, i różnemi cudami słynął, zajął moją imaginację i zwrócił umysł ku religji, tem więcej, gdy przypadkiem pomiędzy szafami znalazłem żywoty Świętych polskich. Po stodo-

[1] Zasłużony misjonarz z XV w.

[2] W kościółku tym postawiono w 1913 r. pomnik błog. Szymona, dłuta artysty rzeźbiarza dra Henryka Kunzeka.

http://rcin.org.pl

łach i strychach czytałem to dzieło, i nie żartem przemyśliwałem o życiu świętobliwem, takiem, jakiego przykłady wyczytałem w tem dziele.

Szkoły tak były wtedy w Galicji urządzone, iż młodzieży ani głowy obciążać, ani zbałamucić nie mogły; karność nawet, co w braku innych żywiołów tworzyć zwykła charaktery, była dość łagodną, zatem na niewinne swawole nasze mógł rząd, chociaż w podbitej i nieprzychylnej prowincji, spokojnie zasypiać. Dziecię polskie, w domu albo w elementarnej szkółce cokolwiek po polsku czytać poduczone, przychodziło do szkół tak zwanych normalnych, gdzie wszystkiego wyłącznie tylko po niemiecku uczono. W tych szkołach póty musiało wytrzymać, póki nie zostało po niemiecku tak usposobione, iż mogło z niemiecka po łacinie się uczyć. Ale, że całą naukę zakładano tylko na opowiadaniu lekcji na pamięć, przeto znajomość języka była tylko pozorną. Tak w tych, jak w innych szkołach, profesorowie nie zadawali sobie pracy w wykładaniu lekcyj i rozwijaniu pojęcia. Zadano z książki stąd dotąd, raz wytłumaczono po polsku, jeżeli profesor był Polak, kazano się nauczyć; kto chybił, odebrał karę i na tem koniec. Sama więc pamięć była mordowaną, każdy się uczył nie wiedzieć czego, tylko na jeden dzień. Dzieci Niemców miały więc tę wielką wyższość nad nami, iż rozumiały czego się uczą; a w nas wzrastała nienawiść do nich i do ich języka.

W szkołach łacińskich, czyli tak zwanych gimnazjach, jeszcze więcej było trudności. Dzieliły się na pięć klas, których głównym, a prawie jedynym przedmiotem był Alwar, na 5 wielkich, a w miarę klasy coraz większych tomów podzielony. W trzech pierwszych klasach jeden profesor przez trzy lata prowadził swych uczniów, a po tym kursie od trzeciej wracał znowu do najwyższej.[1] Ostatnie dwie klasy, retoryka

[1] t. j. do najniższej, zwanej piątą.

http://rcin.org.pl

i filozofja, miały już osobnych swych profesorów, którzy także wszystkie nauki sami wykładać musieli. Ogromny zbiór przepisów Alwara[1] w tych dwóch ostatnich klasach skracany był tym sposobem, iż między nami przez tradycje utrzymywały się egzemplarze książek, w których słowa do nauczenia przeznaczone podkreślone były czerwonym ołówkiem, tak że nawet pojedyncze perjody do właściwej zwięzłości przyprowadzone były; pierwsza więc czynność wstępujących do nowej klasy była, tak sobie swojego Alwara oznaczyć. Język łaciński nauczany był według niemieckiego, i w szkołach tych już słowa po polsku nikt nie słyszał. Trudność uczenia się języka obcego, za pomocą także obcego niezrozumianego, była nadzwyczajna. Wszystko więc odbywało się mechanicznie, na pamięć.

W drugiej klasie już trzeba było mówić po łacinie, z wolnością wyrażenia po niemiecku słowa, którego się nie wiedziało. Środkiem wykonania tej najuciążliwszej powinności było szczęśliwie znalezione, tak zwane *signum*, mała z drzewa ustrugana książeczka. Urządzenie to w tem było dziwaczne, iż ten tylko burę odniósł, kto ten znak nieszczęsny przez godzinę 12 w południe lub o północy miał przy sobie. Przezorni starali się go wcześniej pozbywać, inni na ostatnią godzinę, tak postrachem terminu nagleni, wszelkich używali środków ku zdradzeniu kolegów, którzy właśnie w tym czasie najwięcej byli ostrożni. W ostatnim zawsze razie kończyło się na tem, iż niespodziewane mocne uderzenie w kark kolegi zmusiło go, naturalnie z bólu, odezwać się przyrodzonym językiem i przyjąć *signum* na ową niebezpieczną godzinę, skąd wypływały bitwy, skargi i nieprzyjaźni.

Gdy najniższej normalnej klasie jedynie tylko naukę religji po polsku wykładano, rozumiałem przecie

---

[1] Podręcznik gramatyki łacińskiej.

http://rcin.org.pl

cokolwiek, czegom się uczył.[1] Lecz właśnie to na złe mi wyszło. Gdy nam dano rozdział o *Otchłani*, w której dusze bez chrztu zmarłych cierpią, ucząc się w polu dumałem długo, czy to jest prawdą, czy to sprawiedliwie? Przyszedłem na lekcję z mocnem oburzeniem, i z chęcią wynurzenia katechecie moich wątpliwości, szczęśliwy, że na jego lekcji wolno było mówić po polsku — z zadziwieniem kolegów, bo nigdy nie było wolno odzywać się bez rozkazu. Ksiądz katecheta słuchał cierpliwie, zmierzył spojrzeniem, z którego doświadczeni koledzy źle mi wróżyli, i nic nie odpowiedział, a ja w dobrej wierze obchodziłem przez parę dni mój tryumf. Razu jednego spostrzegliśmy w szkole nadzwyczajne zebranie się profesorów, na których czele rektor po długiej mowie mnie, który się ledwo domyślać mogłem, o co rzecz idzie, wywołał na środek. Otrzymałem chłostę, poczem zapisałem się własnoręcznie w czarną książkę jako bluźnierca, — pióro i kałamarz, których dotknąłem się, wrzucone zostały do wody, i jako heretyk siedziałem przez trzy miesiące na lekcjach w osobnem miejscu. Ten wypadek zrobił mnie ponurym i cichym, tem więcej, że po nim od niewyrozumiałych uczniów długo cierpiałem prześladowanie. Do nauk mało miałem ochoty, natomiast skłonniejszy byłem do dumania, mianowicie w rzeczach religijnych; przejmowałem się błogą sercu miłością Boga, stojąc zawsze przy swojem, że niewinnych nie potępia na wieki.

Mieszkaliśmy z bratem Andrzejem u wdowy,[2] podupadłej i już w wieku będącej, która miała dwóch

---

[1] Było to już w Tarnowie. Brodziński zapomniał opowiedzieć, że w r. 1800 ojciec oddał go na stancję do Tarnowa, właśnie dla uczęszczania do owej szkoły normalnej. Odtąd opiekuje się nim starszy brat Andrzej, który już dawniej dostał się do szkół tarnowskich.

[2] na stancji w Tarnowie.

http://rcin.org.pl

synów, nadzwyczaj żywych i rozpustnych, a którzy wraz z moim bratem już do wyższych klas chodzili. Wdowa ta, przeszło 50-letnia, w najwyższym stopniu przejęta była szlachetnością swego rodu i swoją pięknością. Bardzo często nam powtarzała, że pochodzi od książąt Spicimirów, a z miasta często zadyszana wracała w trwodze, mówiąc, że przez całe miasto ściganą była od księcia Sanguszki Hieronima, który jako dziedzic Tarnowa i jako stary lubieżnik znany był całej okolicy. Ona znaną była z dziwacznej pretensji; w ubiorze przypominającym niezmiernie dawne czasy, chodziła zawsze upudrowana, zawsze prędko i zawsze się wachlując. Gośćmi byli dorośli studenci, po większej części instruktorowie młodszych, noszący zawsze gibkie pręty, któremi często libry papieru przecinając, próbowali sił swoich potrzebnych do ich metody nauczania. Starszy mój brat, będąc sam instruktorem, nie użył nigdy w ich sposób swej władzy, i ja z mojej strony starałem się być pilniejszym. Uprzedzenia synów szczepu książąt Spicimirskich dochodziły do wyższego stopnia, którym matka zupełnie zdawała się pobłażać; każdy nieszlachcic był prześladowany (w szkołach dodawano każdemu wyraz *de*, jeżeli był szlachcic), każdy chłop z drewkami przybywający, każda wiejska kobieta z jarzyną, wytrzymać musieli, jako chamy, prześladowanie. Mieli ci szlachcice jakowąś maszynkę drewnianą, która za przyciskiem jak żądło się wysuwała; *każdy chłop ma takie żądło*, wołano i ścigano z nią każdego. Służąca jedyna w domu, wśród pracy tak prześladowana, codziennie prawie płakała. Nieszczęście chciało mieć, że kuzyna naszej szlachcianki zgodzoną była za pannę służącą do mojej macochy. Naturalnie, dwa tylko miesiące przy niej wytrzymać mogła; żal i pomsta spłynęła także na mego dobrego ojca i na nas synów dla tego, że macocha, w kłótniach z ojcem, często czyniła wyrzuty nasuwające nie małe

http://rcin.org.pl

podejrzenie, że nie jest szlachcicem.[1] Cała więc familja zwróciła do nas poniżające przymówki; ścigano nas z żądłem, i dopominano się, aby nasze *de* z katalogu wymazane zostało.

Najczęściej więc z bratem uciekaliśmy w pole, tam nasze odbywając nauki. Po dwóch latach uznał ojciec konieczność umieścić nas gdzie indziej; nastręczono mu krawca, który tanio się zgodził; nienajgorsze miał mieszkanie, lecz w parę jednak tygodni z tegoż się wyprowadził, i mieścił się z żoną, dziećmi, czeladzią i nami w jednej niewielkiej izbie od tylu. Był to pijak w całem znaczeniu wyrazu. Do szynkowni idąc, zwracał na siebie powszechną uwagę, najgłośniej w rękę trąbiąc, w domu wszystko wywracał, bił, a dane do roboty sukno na zastaw wynosił; trafiało się, że nasza garderoba, nie tylko z kuferka, ale i ta, którąśmy na noc zdjęli, tego losu doznała. Tym sposobem nieraz po kilka dni nie szliśmy do szkoły, znosząc głód, zimno, przekleństwo nieszczęśliwej żony i skwirk [2] zgłodniałych dzieci. Przymuszony zostać w zimie często przez cały dzień w pościeli, nie mając co wdziać na siebie, z szczególnem zamiłowaniem odmawiałem modlitwy ze starej znalezionej książki, za dusze w czyścu cierpiące. Że, według napisów nad temiż modlitwami, można było jednę po sto dni z mąk wybawić, inną po więcej, prowadziłem formalny rejestr dusz przezemnie wybawionych, a nauki zaniedbywałem.

---

[1] Sprawa szlachectwa Brodzińskiego nie jest należycie wyjaśniona. Istniały wówczas rodziny Brodzińskich szlacheckie i nieszlacheckie — i niewiadomo właśnie, do której grupy zaliczyć rodzinę Kazimierza. Ojciec jego, Jacek, uważał się za szlachcica, ale papiery familijne już wtedy zaginęły; niemniej przecież po śmierci Jacka sierotami zaopiekowało się — *Forum nobilium*. Nie jest więc szlachectwo K. Br. zupełnie pewne, ale prawdopodobne.

[2] płacze, lamenty.

http://rcin.org.pl

Szczęściem przybył ojciec i wyrwał nas z tego strasznego miejsca.

Przenieśliśmy się do jednego z kancelistów *Fori nobilium*;[1] mieszkanie jego, po opuszczonem, pańskie nam się zdawało. Miał on żonę dwa razy od siebie wyższą, niezmiernie brzydką, krzykliwą, ale która przywiązaną była do niego z duszy, i miała dobre serce. Sam był rodem z Węgier, niezmiernie powolny, przystojny, i z duszy także butelkę lubiący. Dla tego trzymany był krótko, równo z nami dziećmi, na rękę żony we wszystkich potrzebach jak my patrzący. Zabiegając tylko, aby się mąż nie upijał, była zresztą nad możność hojną. Po kwartale, w którym ojciec za nas raty zapłacił, lub po pierwszym każdego miesiąca, gdy mąż pensję odebrał, mieliśmy wszystkiego do zbytku, za to koniec kwartału był zawsze smutny dla zupełnego braku funduszów. Szły znowu na zastaw rzeczy z domu, nawet nasze suknie. Wtedy nasz gospodarz miał wolność więcej z domu wychodzić i upijać się bezkarnie. Gdy był gdzie zaproszonym, wracał on w najlepszym humorze, łajany odpowiedział: co ty wiesz głupia? co ty znasz? gdybyś ty wiedziała, jak my tam pili!

Raz późno w nocy przyszedłszy, spostrzegł światło księżyca rzucone na stos garnków, podrzędnie aż do sufitu za piecem ułożonych. Zdało mu się, że to jest djabeł. Podżegany przez nas, nuż machać laską tak dobrze, że wszystkie garnki potłukł. Nazajutrz był w domu wielki kłopot i późno jedliśmy obiad. Nie pamiętam skąd dostał mi się przywilej chodzić z moim gospodarzem do szynkowni, w których się upijał. Była to najczęściej brudna komora u Żyda, gdzie pito miód albo wino węgierskie. Szczęściem, że do szklanek prawie żadnego nie miałem udziału, lecz za to bułki do przekąski dawano, o które pijacy wcale nie dbali; sam

[1] Sąd dla spraw szlacheckich.

http://rcin.org.pl

je zjadałem, nie mogąc się wydziwić, że tacy rozumni panowie wolą pić wino niżeli jeść bułki.

Jeździliśmy parę razy do domu na wakacje, gdzie coraz było gorzej i smutniej. Całe dni trawiliśmy w polach i lasach, nie pokazując się prawie macosze, która, obok wszystkich swoich przymiotów, nawykła do pijaństwa, któremu towarzyszyło bicie sług i chłopów. Jednego roku w zimie niebezpiecznie był ojciec zachorował, i sąsiedzi przysłali po nas do Tarnowa furę, abyśmy umierającego ojca pożegnać mogli. Stało się to bez wiedzy macochy. Przybywszy, zastaliśmy ojca u spowiedzi; przy łóżku obok krucyfiksu świece gorzały. Był to właśnie moment, po którym ojciec podpisał testament. Treść obudziła gniew tej nieszczęśliwej kobiety do tego stopnia, iż zapisane jej kopersztychy[1] i obrazy z pokoju chorego zdzierała ze ściany, i z krzykiem największym wobec księdza, pisarza i świadków, którzy na ten widok zmartwieli, ku łóżku miotała. Ojciec modlił się tylko po łacinie. Gdyśmy na to weszli, gniew jej zwrócił się ku sąsiadom obecnym, że na to nas sprowadzili, abyśmy majątek po ojcu zabrali, ją w koszuli puścili i tym podobne. Ojciec rzucił na nas żałosnem okiem, widać było na nim mocne poruszenie, kazano nam się oddalić. Płacząc przepędziliśmy noc całą w izbie czeladniej. Nazajutrz był ojciec zdrowszy i w domu spokojniej. Uzyskaliśmy na chwilę przystęp spokojny do ojca, pobłogosławił nas i kazał do szkół odjechać. Płakali nas domownicy, szczególniej poczciwy Żyd arendarz, koło któregośmy przejeżdżali. Obdarzył on nas łakotkami różnemi, dał po dwa złote w trzechgroszówkach, suma jakiej jeszcze nigdy nie miałem.

Że mój brat starszy ukończył gimnazjum w Tarnowie, przeniesiono go do Krakowa na uniwersytet i mnie przy nim, gdzie byłem w drugiej gimnazjalnej

[1] kopersztych (z niem. *Kupferstich*) — miedzioryt.

http://rcin.org.pl

klasie.[1] Nieszczęście było zawsze jakieś przywiązane do naszych stancyj studenckich. W Krakowie umieszczono nas u stolarza, na końcu ulicy Wrocławskiej, w izbie, w której heble i piłki w nieustannej były robocie. Stolarz ten był razem tokarzem, mającym swój warstat w małym sklepiku na ulicy Grodzkiej. Tam musieliśmy chodzić na śniadanie i na obiad, czekać po godzinach, jeść najniegodziwiej, a obiad kończył się na tem, że łyżki i półmiski małżeństwo sobie na głowy rzucało. Był to widać pijak i oszust, który wzięte od ojca pieniądze stracił, na żywienie nas wystarczyć nie mógł, i od żony za hultajstwo swoje karę odbierał. Tak włócząc się przez jesień, od szkoły do tokarni, stamtąd do stolarni, głodni i przemokli, zostaliśmy bez ratunku. Obcy dopiero człowiek wpodle nas mieszkający, przez szczególną troskliwość, wywiedział się o stanie naszego ojca, przyszedł do nas i podjął się nas umieścić gdzie indziej, pewny będąc, że mu tego postępku ojciec za złe nie weźmie. Uściskaliśmy dobroczyńcę naszego, niebawnie przenieśliśmy się na ulicę św. Anny, blisko szkół, do gospodarza porządnego, gdzie już zastaliśmy kilku uczniów mieszkających. Rajem zdało się nam to nowe mieszkanie; stancje były porządne, stół jak najlepszy, ludzie dobrzy, o nas troskliwi, i weseli koledzy.

Wkrótce nadeszła wiosna, we mnie ożywiła się najżywiej miłość dawnej swobody, biegania po górach i łąkach, najczęściej samotnie. Brat mój zaczął życie akademickie, miał swoje prace, przyjaciół, oddawał się z zapałem poezji; ja zostawiony byłem samemu sobie, w naukach zupełnie się opuściłem, celowałem tylko w pracach piśmiennych po łacinie, które, sam nie wiem jakim sposobem, łatwo mi przychodziły. Naj-

[1] Było to w lecie r. 1804. Kazimierz ukończył w 1803 r. szkołę normalną i przeszedł do gimnazjum. Dzięki pomocy brata przechodził co roku do wyższej klasy.

http://rcin.org.pl

ulubieńszą moją zabawą było zbieranie i zasuszanie ziół i kwiatów; i na tem całe przedpołudnia trawiłem często na górze Bronisławy. Książki, będąc już lat kilka studentem, żadnej jeszcze nie czytałem. Lubiłem i umiałem różne pieśni, ale nigdy mi przez myśl nie przeszło, ażeby można jakowe wiersze czytać. Historyczne pomniki Krakowa były mi najobojętniejsze, gdyż żadnego o historji polskiej wyobrażenia nie miałem; wiem tylko, żeśmy spółuczniów Niemców bili i przezywali, jako Niemców.

Ojciec po długiej słabości zdołał przecie do nas przybyć. Zapłacił poczciwemu gospodarzowi, który bez żadnej ugody i znajomości nas żywił. Wkrótce po odjeździe jego doszła nas wiadomość, że już nie żyje.[1] Nie przypominam sobie z tych czasów szanowniejszej postaci nad mego ojca, ku któremu więcej mieliśmy uszanowania, niżeli dziecinnej miłości. Starzec 60-letni starannie po polsku się nosił, z tym tylko wyjątkiem, że zamiast podgalania włosów na głowie zaczesywał je od czoła, spuszczając siwe loki na plecy; powolny, milczący, wtenczas się tylko do nas odzywał, gdyśmy na połajanie zasłużyli. Co dzień o ćwierć mili chodziliśmy z nim na mszę, w niedzielę tylko kazał zaprząc mały wozik, zwany wanienką. Był nadzwyczajnie oszczędnym, wkońcu aż do skąpstwa, stąd pochodziło nieszczęśliwe mieszczenie nas po szkołach. Wymyślny sam w pięknym polskim ubiorze, nam bardzo rzadko sprawiał nowe suknie, lecz z ogromnej swej garderoby przerabiać kazał kapotki. Co rok w czasie wakacyj rozwieszano na dziedzińcu do stu kontuszów i żupanów, czyniono z krawcem lustracją, które z nich dla dzieci przerobione być mają; mieliśmy przeto sukienki w różnych dziwacznych kolorach. Było zwyczajem, że do trzeciej klasy łacińskiej młodzież nosiła się po polsku, w ostatnich dwóch po francusku; była to niejaka

[1] Umarł Jacek Brodziński 21 grudnia 1804 r.

http://rcin.org.pl

oznaka wyższości. Memu bratu starszemu przypadła jakaś suknia ceglasta z żółtemi pasami, z której frak mu zrobiono; wyśmiewany był od wszystkich uczniów. Oprócz starostwa Lipnickiego, które nasz ojciec lat 20 [1] dzierżawił, miał dożywocie jednej wioski. Że sam nie był gospodarzem, wypuszczał grunt abszytowanym [2] żołnierzom, budował im chaty, i ci byli do niego najprzywiązańsi. Sprawiedliwy, rozsądny, tak był kochany i poważany, iż na pogrzeb jego do kilku tysięcy się zjechało wieśniaków i szlachty ze starostwa i okolic. Utrzymywał wiele korespondencyj; do Krakowa regularnie dwa razy w tydzień posłańca wysyłał. O polskich uczuciach jego to tylko powiedzieć mogę, co mi jedynie utkwiło w pamięci. Miałem wtedy lat kilka, gdy wieczór przed kolacją parę gości z ojcem rozmawiało siedząc na ganku. Przybył posłaniec z Krakowa, oddał listy, po których przeczytaniu [ojciec] zaczerwieniony wbiegł do pokoju, gdzie właśnie stół przeszło na dziesięć osób był nakryty. W niezwykłem sobie uniesieniu porwał za koniec obrusa i zrzucił całe nakrycie z wazą, gromiąc nas: »Precz niewolnicy! nie będziecie dziś jedli!« Słowa te przeraziły samych gości, nawet macochę. Była to wiadomość o ostatecznym rozbiorze Polski. Księżyc pięknie świecił, cały dom poszedł w pobliskie góry, pod tak zwany duży kamień; śpiewano pieśni patrjotyczne, mianowicie hymn: »Do Ciebie, Boże, wznosim nasze modły«. Pieśń ta utkwiła mi na zawsze w pamięci. [3]

Trzy miesiące od śmierci ojca upłynęło, nasz najem się kończył, do nas nikt się nie zgłosił. Brat Andrzej zyskał sobie niejaki zarobek pisząc u adwokata

---

[1] Właściwie 10 lat, gdyż przed rokiem 1794 był rządcą u starosty Moszyńskiego.

[2] zwolnionym z wojska.

[3] Cały ten ustęp, począwszy od słów: »O polskich uczuciach jego«..., skreślony przez cenzurę w 1844 r., nie był nigdy dotąd drukowany.

http://rcin.org.pl

mnie jak mógł dopomagał, lecz wyżyć dłużej obydwom było niepodobno. Przedsięwziąłem więc udać się do macochy, a w razie najgorszym szukać u sąsiadów porady i wsparcia. Uszyłem sobie potajemnie z prześcieradła torebkę, dostawszy od Żydów za niepotrzebną czapkę kilka czeskich,[1] zabrałem moje manatki i puściłem się pierwszy raz w pieszą podróż o 8 mil do miejsc rodzinnych; zdawało mi się, że na koniec świata; wiek, słabe zdrowie i brak wprawy ledwo mi dały tę podróż ukończyć, spoczywając co chwila po lasach i górach, zostawiałem coraz więcej po drodze moich manatek, naprzód książki, potem i sukienki, co mi wszystko nieznośnie ciężyło, tak dalece, że prawie z niczem przyszedłem na miejsce.[2]

Stanąwszy w Lipnicy, z drżeniem serca zbliżałem się do domu, który dla mnie tyle smutnych miał wspomnień. Nie zastałem w nim nietylko macochy, ale nawet i żadnego z czeladzi. Po śmierci ojca Niemcy, według prawa, natychmiast starostwo objęli, gdy starosta Moszyński, dożywotni, w jednym czasie z mym ojcem umarł.[3] Poznała mnie jedna z wiejskich kobiet, zaprowadziła do domu swego, gdzie noc smutną spędziłem. Dowiedziałem się, że macocha zaarendowała polne dochody plebanji w Rajbrodzie, w jednej z wiosek do starostwa należących. Mąż tej kobiety odprowadził mnie do Rajbroda, pół mili tylko od Lipnicy odległego. Po drodze wstąpił ze mną na cmentarz, pokazał grób ojca, pomodlił się ze mną; przechodząc przez miasteczko (Murowaną Lipnicę) zaprowadził na piwo i bułki.

---

[1] W niektórych okolicach Polski nazywano »czeskim« monetę, wynoszącą 6 groszy polskich; na Śląsku nazywano tak srebrny grosz pruski.

[2] Było to w lecie 1805 r., po ukończeniu drugiej klasy, więc po jednym roku pobytu w Krakowie.

[3] Starostwo lipnickie była to królewszczyzna, w chwili zaboru kraju przez Austrję pozostawiona dożywotnio ówczesnemu jej staroście; po jego śmierci przeszła na rzecz skarbu cesarskiego.

http://rcin.org.pl

Zeszło się do szynkowni wiele ludzi, najwięcej mieszczanek, byłem głaskany, żałowany, mówiono niezmiernie wiele o majątku ojca, co macocha zabrała, co Niemcy skręcili[1] i tym podobne; wszyscy podawali mi szklanki a nawet i kieliszki z wódką.

Przyjęcie u macochy nie było takie, jakiego powinienem się był obawiać; nagła zmiana losu i w nim upokorzenie, głos sumienia, a najwięcej chęć zyskania opinji, sprawiły zapewne, iż mi nie odmówiła przytułku, po który tylko ślepym instynktem wiedziony przybyłem. Mieszkała w szczerem polu, w nowym zupełnie domku, o dwóch izbach z jednej, a kuchni i śpiżarni z drugiej strony; zresztą żadnego drzewka ani przybudowania; droga nawet w to miejsce ledwie była cokolwiek utartą. Miała przy sobie dwoje małych dzieci i jedną tylko służącą. Przyjęty byłem łagodnie, do czasu, póki opiekun i *forum nobilium* nami nie rozrządzą.

Wieśniacy Rajbroda różnili się od włościan okolicznych obyczajami, wymową, a nawet strojem zupełnie prawie odmiennym. Liczne chaty rozproszone po dwóch pasmach wzgórzystych, około niespokojnej, często wylewającej rzeki, przez samych tkaczów były zamieszkane. Trzaski warstatów rozlegały się od świtu do zmierzchu, a wszelkie wzgórza i trawniki pokryte były blichującem[2] się płótnem. Pola mało zasianego, natomiast cała prawie wieś składała się z sadów, w których najwięcej włoskich orzechów. Na małym placu równym, w dolinie, stary drewniany kościółek Marji Pannie poświęcony. Plebanja była na cmentarzu, tak, że pod oknem prawie chowano. Pleban grubych obyczajów, z nudoty pijaństwu oddany, pełnił jak umiał swoje obowiązki, żyjąc rano dla Boga i owieczek, po obiedzie dla siebie i dla węgrzyna.

---

[1] przywłaszczyli sobie bezprawnie.
[2] blichować (od niem. *bleichen*) — bielić.

http://rcin.org.pl

Nie mając żadnego towarzystwa i zatrudnienia, żadnej a żadnej książki prócz łacińskiej i niemieckiej gramatyki, jedyne towarzystwo znalazłem w drzewach, ziołach i strumykach, nad któremi czas mój pędziłem. Niczem prawie ze szkół, oprócz trochę tych dwóch języków, nie uposażony, nie miałem w tej samotności żadnego żywiołu dla myśli. Obyczaje wieśniaków zdały mi się zbyt grube w porównaniu z sąsiedniemi, i nic miałem z nimi prawie żadnej styczności. Dumania po polach były mi zawsze jakąś rozkoszą, połączoną z tęsknotą. W szczupłem mieszkaniu macochy, którą moje próżniactwo bynajmniej nie obchodziło, miałem mieszkanie moje na strychu, do którego po drabinie wchodziłem, gdzie tylko na pościeli mogłem siedzieć i pisać lub czytać gramatykę. Tam między innemi rzeczami spostrzegłem wór papierów po ojcu moim zabranych. Między listami, rejestrami było wiele drukowanych na arkuszach i półarkuszach, mowy sejmu 4-letniego, wiersze, najwięcej na imieniny różnych panów lub króla Stanisława, jak to bywało zwyczajem, iż podobne rzeczy osobno drukowane po wszystkich domach się rozchodziły prędzej niż gazety i książki. Z wielką chciwością odłączałem te skarby mojej lektury od papierów na nic nie przydatnych, a biorąc po zwitku w pole, czytałem głośno to mowy, to wiersze. Tamte mało mnie zajęły, nie zrozumiałem o co w nich idzie, wiersze sprawiały mi rozkosz, jeżeli w nich jakie porównanie, jaki obraz znalazłem. Ubogie to było żniwo powinszowań Naruszewicza, X. Żubowskiego,[1] lecz były i niektóre Trembeckiego bez podpisu, które mi się nieskończenie wyższemi zdawały i w pamięci utkwiły.

Te jednak wiersze, lubo wcale dla mojego wieku i moich skłonności niestosowne, obudziły we mnie

[1] Ksiądz Ildefons Żubowski ogłaszał w drugiej połowie XVIII w. wiersze imieninowe i inne.

http://rcin.org.pl

chęć pisania, a przynajmniej naprowadziły mnie na poznanie zewnętrznego składu wiersza; przetrząsłem jeszcze raz wszystkie papiery w worku segregowane, powycinałem białe kartki, zszyłem sporą książkę i póki jeszcze służyła pora jesienna, chodziłem w pole i ukryty w gęstwinach, układałem w rymy, co mi do głowy przyszło. Byłem jak pisklę w gnieździe, które, instynktem samym wiedzione, inne ptaki naśladować usiłuje. Najczęściej śpiewałem nuty od wieśniaków słyszane, a sama melodja naprowadzała mnie na wyrazy, którem zaraz spisywał. Były to wyrazy tęsknoty za matką, której nie znałem, i więcej jeszcze piosneczki miłosne, proste naśladowanie dumek od żniwiaczek słyszanych. Byłem wtedy szczęśliwy i cały dzień zajęty, a bez żadnych zapasów wiadomości, układałem projekta do dużych poematów.

Nadeszła zima najsmutniejsza dla mnie, bo już nie tylko towarzystwa, ale i natury pozbawiony, bez żadnych książek przepędzić ją musiałem; wieczorem chodziłem do czeladniej izby plebana, szczęśliwy, jeżeli trafiłem na dzień, gdy parobki i prządki opowiadały tak zwane *gadki*, historyjki, lub kiedy śpiewano pobożne pieśni, czem się zwykle nasi wieśniacy przy pracach wieczornych zajmowali. Bywałem także u organisty, który miał w domu lichy klawicymbalik.[1] Czasem zagrał na nim pieśni pobożne, bo innych nie umiał; pragnąłem w najwyższym stopniu uczyć się na tym instrumencie, lecz ujrzałem niepodobieństwo skłonienia do tego organisty, który nie chciał udzielać tajemnicy swej sztuki, może i dlatego, że żadnej nagrody spodziewać się nie mógł. »Pan jesteś i będziesz panem, i nie potrzebujesz być organistą« odpowiedział mi, nie wiem czy w prostocie serca, czy też żartując

[1] klawicymbał — jedna z wcześniejszych odmian dzisiejszego fortepianu, ulepszony klawikord; używany od XVI do XVIII w.

http://rcin.org.pl

z biedaka. Macocha moja pogniewała się z plebanem, stąd przez całą zimę towarzystwa nie było; oboje w samotności, pokątnem nachylaniem kieliszka wieczory długie odprawiali.

Przecież zbliżyła się wiosna[1] razem z Wielkanocą, w czasie której już czerwone prątki krzewin pączki obiecywały, a cmentarz był pełny fiołków. Zajmowało mię bardzo nabożeństwo wielko-tygodniowe, a przez znajomość z organistą należałem w części do czynności kościelnych. Uderzyły mnie szczególniej śpiewane przez niego psalmy przy grobie Chrystusa. Śpiewałem je za nim samym, później kolejno, nazajutrz rano i popołudniu sam nie ustawałem śpiewać, a organista z ochotą dał się wyręczyć. Nigdy nie zapomnę uroku, jaki na mnie wtenczas sprawiły tak śpiewane pieśni Dawida po ukończeniu uroczystości Wielko-nocnych; potrafiłem uprosić od organisty książkę, której używał, czytałem i śpiewałem w polu, uchodząc najdalej, żeby mnie ludzie nie słyszeli. Pogodziłem się z zarzuconą gramatyką łacińską i czułem słodycz tego języka. Marzenia moje zaczęły być nie już tylko poetyckie, ale i religijne, a od smutku i tęsknoty do błogiej wesołości i nadziejnych marzeń przeszedłem.

W tym właśnie czasie odebrałem list od brata Andrzeja, który z uniwersytetu lwowskiego[2] przybył do stryja, mającego znaczne probostwo w Wojniczu, o 4 mile od Rajbroda. Co była za radość moja, czytać list cały o poezji, której się brat mój z największym zapałem oddawał, i dołączone do niego przekłady wierszem niektórych rozdziałów Tomasza z Kempis,[3] a nawet całej tragedji przez niego napisanej, pod tytułem

---

[1] roku 1806.

[2] Widocznie Andrzej przeniósł się na rok szkolny 1805/6 z Krakowa do Lwowa, a teraz, nie mogąc się tam dłużej utrzymać, przybył do Wojnicza.

[3] t. j. z dzieła *O naśladowaniu Chrystusa*.

http://rcin.org.pl

Ludgarda! Doniósł mi o książkach, jakie czyta, o księdzu Juszyńskim,[1] który się trudnił bibljografją polską: że go poznał, bywa u niego i rady zasięga. Posłałem mu nawzajem moje ramoty, odebrałem odpowiedź zachęcającą, pełną miłości braterskiej i poezji. Już i psalmy i płynąca z nich osłoda nie były mi wystarczające. Nie sypiałem z tęsknoty do brata, do jego książek, a co większa, widzieć jeszcze trzeciego człowieka, księdza, chcącego się zajmować poezją. Nikt się o mnie nie pytał, w zaniedbaniu nie wiedziałem na co żyję; w domu byłem coraz widocznie[j] tylko cierpianym; umyśliłem więc, puścić się w drogę do stryja, który był i prawnym moim opiekunem. Szło tylko o to, że byłem zupełnie odarty, a tak nie śmiałem się pokazać w domu stryja, gdzie, jak słyszałem, bywali goście.

Wynalazłem na moim strychu walający się surdut, niegdyś lokajski, po poczciwym Macieju, który go po śmierci ojca mego zrzucił i został napowrót parobkiem. Prosiłem o niego macochę, otrzymałem, a po różnych naradach z krawcem wiejskim, który się długo wahał jąć tej roboty, przechodzącej jego umiejętności, skleił się surdut dość poczesny, po odjęciu wszelkich znaków lokajskich. Tak wystrojony nie wahałem się wystąpić na świat za granicę Rajbroda. Udałem się o pół mili do Lipnicy, do księdza wikarego, który znał mego stryja, z prośbą o poradę. Widząc mój stan próżniactwa, moje łzy, skłonił się, iż miałem być wyprawionym konno z przewodnikiem do Wojnicza. Macocha wyjechała na dłuższy czas, nie mówiąc nic nikomu, puściłem się w moją drogę, pełen najświetniejszych nadziei. Mój stryj i opiekun[2] był przykładnym i oświeconym kapłanem, dobrym oraz i hojnym dla

[1] Ks. Michał Hieronim Juszyński (1760—1830) wydał *Dykcjonarz poetów polskich*. W latach tych bawił właśnie jako wikary w Wojniczu.

[2] Ks. Piotr Teodor Brodziński, proboszcz w Wojniczu od 1801 r.

http://rcin.org.pl

gości sąsiadem, miał piękne dochody, lecz za to nie miał ducha ekonomicznego, nadto przytem obciążony był familją, bo oprócz nas, czworo dzieci po jednym bracie, bawiła przy nim po drugim matka z córką.[1] Mniej czule przyjąłem niezbyt uprzejme przyjęcie,[2] szczęśliwy, żem się połączył z rodzeństwem, szczęśliwy z bratem starszym.

Wojnicz leży w przyjemnem położeniu blisko Dunajca, owej rzeki porywczej, gwałtownie często wzbierającej, tak iż często drzewa, trzody i szopy pasterskie w górach zerwane pędziła. Probostwo składało się z obszernego, bardzo porządnego mieszkania z drzewa po staroświecku, i z przepysznego ogrodu włoskiego, którego czołem był sad, mający najwytworniejsze owoce; kilka miesięcy pobytu mego w tem mieście liczę do dni najszczęśliwszych młodości mojej; wszyscy czworo, to jest dwie siostry i dwóch braci,[3] mieliśmy jedne skłonności, lubiliśmy czytać wiersze i po spacerach między wzgórzami piękne wynajdywać okolice. Ksiądz stryj dzielił z nami po części to usposobienie. W jednej altanie ogrodu leżała na stoliku spora księga, gdzieśmy wszyscy zapisywali różne wiersze, koncepta i powiastki. Jędrzej celował dowcipem i pracą, od wszystkich najwięcej kochany. Najgłówniejszą lekturą naszą były sielanki Gesnera, wierszem przez X. Chodaniego przełożone.[4] Wszyscy nie tylko pisaliśmy sie-

---

[1] A więc czworo dzieci śp. Jacka: Honorata, Andrzej Kazimierz, Piotr, oraz córka po drugim bracie, Szczęsna z matką.

[2] Zrozumiałe, skoro był już piątym, szukającym gościnności u stryja.

[3] Pomija tu najmłodszego Piotra, który — jeszcze dziecko — w zajęciach i zabawach starszych nie mógł brać udziału.

[4] Salomon Gessner (1730—1788), poeta szwajcarski, autor głośnych sielanek prozą (I wyd. 1756, II, pomnożone, 1765). Tłumaczenie na język polski (wierszem) wydał ks. Jan Chodani w r. 1800.

http://rcin.org.pl

lanki na wzór Gesnera, ale nasze rodzinne dziecinne życie było prawdziwą sielanką.

Ja najwięcej się przywiązałem do Szczęsnej, stryjecznej siostry, która zupełnie była równego ze mną wieku i jednych skłonności. Z nią chodziłem najczęściej na łąki zbierać zioła, któreśmy zasuszali i układali z nich pewien rodzaj landszaftów.[1] Ona wkrótce wraz z matką wyprowadziły się o pół mili do wsi Więckowic, gdzie bawiły przy państwie Miroszewskich, w pałacu pięknie umeblowanym, a raczej trudniły się dozorem domowego gospodarstwa. Tam niewidziany od państwa lub gości, przychodziłem na sam koniec dużego ogrodu pod umówioną morwę, gdzie wybiegała do mnie, przynosząc mleka kwaśnego i chleba, tudzież książki, jakie z bibljoteki porwać mogła. Jeżeli dzień minął, gdzieśmy się nie widzieli, nie obeszło się bez listu, gdyż się zawsze okazje trafiały; kochaliśmy się najczulszą braterską miłością, weseli w zabawach, a zbyt może sielankowi i gesnerowi w naszych listach. W ogrodzie stryja zrobiliśmy oboje mały ogródek, nad którym najwięcej pracowałem; kanapkę z darni zrobiłem, i starałem się przesadzać do niego najwięcej polnych kwiatków, które się rzadko przyjmowały; tam było nasze ulubione siedzenie.

Nigdzie, gdzie stryj i siostry bywały, pokazać się nie mogłem, bo oprócz zbyt lichej garderoby, byłem w najwyższym stopniu nieokrzesany, nieśmiały, lubo w gruncie czułem słodycz ugrzecznienia, obyczajności wyższego świata, o jakim tylko z daleka słyszałem, i pragnąłem poznać. Kiedym przechodził koło pięknych dworów, których w tej okolicy pełno było, wystawiałem sobie, że wewnątrz nich jest raj prawdziwy. W imaginacji stawiałem się pośród dam, byłem zręczny, przytomny, a nawet układałem dowcipne odpowiedzi komplementa, na różne zajść mogące pytania i oko-

[1] krajobrazów.

http://rcin.org.pl

liczności. Nieraz znakomita dama, mijając brudnego chłopca, nie wiedziała, że tenże układa właśnie do niej w swej głowie najsubtelniejsze wyrazy uczuć i dowcipu, jedynie od samej natury czerpane. Nawet później nigdy w życiu nie umiałem zrealizować czułych w sobie zdolności i chęci. Zawsze nieśmiały, nieprzytomny, dopiero wracając od dam, po drodze ślicznie i dowcipnie odpowiadałem, rumieniąc się i niepokojąc, że tak niezgrabny być mogłem. Raz istotnie starościna Dąbska, o której wykształceniu największe sobie snowałem wyobrażenie, raczyła do mnie na spacerze przemówić. Traf ten niespodziany tak mi odebrał przytomność, że coś niezrozumiałego mruknąwszy, w największym pędzie uciekłem i już z każdego odtąd miejsca uciekać musiałem, gdzieby mnie ujrzeć mogła. Taką moją nieśmiałość czułem głębiej nad wszystkie cierpienia; ona mię prześladowała i prześladować będzie do końca życia, i jest główną przyczyną wszelkich we mnie innych niedoskonałości i niefortunnych kolei.

Nie widząc nigdy towarzystwa, jak mówią, wyższego świata, najwięcej o niem lubiłem marzyć, i nic dla mnie naturalniejszego nie było, jak dobrą, grzeczną damę uważać za bóstwo prawdziwe. Tem wyobrażeniem nie upoiły mnie romanse, bom dotąd żadnego w życiu nie czytał, ani poezje, bo najwięcej i jedynie miałem na pamięci pasterki Gesnera, lecz sądziłem, że słodycz obyczajów, cnoty, jakie tenże w pasterkach malował, znajdują się rzeczywiście w towarzystwie wyższego świata. Gesnera *Idylle*, mające za przedmiot naturę, są, jak to każdy dziś czuje, najmniej naturalne i już zapewne nikt ich nie czyta; lecz właśnie ta idealność Gesnera jest podług mnie jedyną poezją dla wieku dziecinnego, który jak swojej własnej, tak i w sztuce oddanej, szczerej niewinności i uczuć dziecinnych nie zdoła czuć, bo ich z niczem porównywać nie umie, bo nie wiedząc o tem, sam ich jest pełniejszy niż wszyscy poeci. Właśnie więc dla tego

http://rcin.org.pl

Gesner podoba się młodości, że nie maluje rzeczywistej natury, że wystawia świat idealny, w jaki tylko wiek dziecinny wierzyć może i do jakiej najwięcej jest skłonny. Dlatego też może Gesner od wykształconej społeczności we Francji więcej niż wszędzie był uwielbiany, bo tej prawdziwie idylicznej natury czuć już nie była w stanie, tak jak umysł dziecinny czuć jej jeszcze nie może.[1]

Szczęsna, siostra, widziała nierównie więcej świata odemnie, miała przyzwoite wykształcenie i bywała u znakomitych pań w stolicy, a moje przecież nieokrzesanie wcale jej nie uderzało i często wymykając się od zabaw i gości, wolała w ogrodzie przebywać z chłopakiem odartym, który nawet okna unikał, gdzie widział gości. Każdy przysmaczek, jaki się jej dostał, był wspólnie ze mną zjedzony, a z rozmowy naszej rozumowania były, jak mówiła, więcej nauczające, niżeli towarzystwo, które opuszczała. Czuliśmy do siebie nie tylko przywiązanie, ale pewne uprzedzenie o sobie; wszystkie nasze zdania były zawsze jedne i najlepsze. Szacunek dla jej wyższego poloru miałem taki, iż nigdy nie odważyłem się dać jej braterskiego pocałunku; żyliśmy z sobą jak bracia, i po niej uważano, że ma więcej męskich skłonności.[2]

Brat mój Andrzej umieścił się tymczasowo u starosty Dąbskiego jako sekretarz. Mieszkanie starosty było jedno z najwspanialszych w okolicy; wkradałem się często do niego z największą obawą, równie aby mnie pies, starościna lub dama jaka nie spostrzegła. W całym tym pięknym dworze polskich książek prawie nie było, lecz tylko francuskie, którego języka oba-

[1] Istotnie we Francji przyjęto entuzjastycznie tłumaczenie sielanek Gessnera przez Huber'a, dokonane niemal równocześnie z pojawieniem się oryginału.

[2] Po rozstaniu się ze Szczęsną, Brodziński długo korespondował z nią; kilkanaście zachowanych listów do niej ogłosił Al. Łucki w *Przewodniku nauk. i liter.* 1906.

http://rcin.org.pl

dwaśmy nie rozumieli. U doktora dworu wynalazł brat poezje niemieckie Hallera,[1] zdobycz dla nas obudwu niezmiernie ważną; ja mało mogłem go zrozumieć, brat mi tłumaczył, piękniejsze miejsca nawet wierszem przekładał. *Wiersz do wieczności* szczególniej nam się podobał. Wkrótce byłem w stanie rozumieć całego Hallera, niezmiernie uradowany, że są rzeczy głębiej zajmujące jak sielanki Gesnera w tłomaczeniu Chodaniego. Gdy raz starostwa wcale w domu nie było, miałem sposobność obejrzeć pięknie umeblowane pokoje; widok ten sprawił we mnie zadziwienie. Na obrazy żadnej nie zwróciłem uwagi, lecz alabastrowe wazony, szczególniej zaś figury gipsowe, parę marmurowych czy mozajkowych kolumn, nęciły mnie tyle, iż się im napatrzyć nie mogłem. Snycerskie roboty ołtarzów i rzeźby, których tyle w kościołach krakowskich, mało mię niegdyś zajmowały, ale te rzeźby, z antyków naśladowane, już dały mi poznać, że w ludzkiej postaci coś nadludzkiego mają. Nie mogłem odtąd patrzeć na żadne tłuste, złocone po kościołach aniołki. Dotąd nad wszystkie sztuki najwięcej mię zajmuje rzeźba starożytna; ona jest wyobrażeniem spokoju i duszę pokojem zapełnia.

Gdy się pozostałością po ojcu zajęto,[2] pokazało się, iż jako tako parę lat jeszcze w szkołach pobyć możemy. Brat Jędrzej udał się do Krakowa, ja napowrót do Tarnowa do mego Węgrzyna Woeresza.[3] Jednakże fundusz na moje utrzymanie w Tarnowie, lubo najskromniejsze, na rok tylko wystarczał, gdy mi 3 lata koniecznie do ukończenia szkół było potrzeba. Zmuszony byłem dzieci uczyć po domach, lubo naj-

---

[1] Albrecht Haller (1708—1777), poeta niemiecki, autor m. in. poematu p. t. *Alpy*.

[2] *Forum nobilium* i opiekun.

[3] Dla dalszego uczęszczania do gimnazjum; w jesieni 1806 r. wstąpił do III klasy.

http://rcin.org.pl

mniej miałem do tego usposobienia, a to szczególniej z powodu powolności, która dla zbyt żywych w tych stronach dzieci nie była stosowną.

Mój zawód pedagogiczny wypadało mi zacząć od synków Żyda zamożnego, który nie chodził w zwykłym ubiorze żydowskim, i pragnął szczególniej, aby dzieci po polsku umiały. Wybór do tego zdarzyły nie moje zdolności, ale pokora i powolność, która mnie z oczu i ubioru oznaczała. Dla Żydków bojaźliwych, od młodzieży prześladowanych, takiego było potrzeba. Jakoż dobrze obie strony wyszły, bo te dzieci były niezmiernie posłuszne, a przytem pokorne, i ja nie potrzebowałem dodawać sobie powagi pedagogicznej. Postęp był coraz lepszy, ojciec po dwa razy podwyższył mi wynagrodzenie, a matka rozpłakała się z radości, gdy dziecię najmłodsze płynnie czytało. W dzień sabatu miałem zawsze wyborne ciasta dane do chustki, które pożywałem z kolegami, a ci powoli przestali mnie prześladować, żem jest żydowskim belferem. Miałem za te godziny 3 reńskie na miesiąc, co było płacą nadzwyczajnie hojną, gdy gdzieindziej po jednym i pół tylko dawano. Nabierałem powoli wprawy w nauczaniu, lecz za to uczenie się szło bardzo niepomyślnie.

Gimnazjalne szkoły w Galicji wówczas urządzone były tak, że prócz języka łacińskiego i niemieckiego, żadnej prawie nauki powziąć w szkołach nie można było, *sintaxis*, retoryka i poetyka,[1] w najdrobniejszych szczegółach zawikłane, nużyły umysł i obciążały pamięć; miałem do nich wstręt najwyższy, natomiast wolałem tłumaczyć autorów; w pierwszym roku mieliśmy profesora, pod którym cały rok zszedł na niczem. Był to pijak i cynik w najwyższem znaczeniu wyrazu; cała przestrzeń jego płaszcza między podszewką

[1] Są to nazwy przedmiotów (*syntaxis* = nauka składni), ale zarazem i klas gimnazjalnych (trzeciej, czwartej i piątej), do których Brodziński teraz uczęszczał.

http://rcin.org.pl

a suknem, zapełnioną była kajetami naszemi, które stanowiły pościel tego filozofa, jak go nazywano. W mieszkaniu jego żadnego, co się zowie, sprzętu nie było, natomiast cała podłoga osuta barłogiem, która stanowiła obszerne łoże, a kajeta za poduszkę służyły. W płaszczu mieściły się czasem butelki węgrzyna, z których popijał bez względu, gdzie myśl do tego przyszła, czy na ulicy, czy w szkole. Lekcje swoje przekrzyczał z całej siły głosem olbrzymim, rzucaliśmy wtedy na niego gałki z papieru i piasku, które z stoicką wytrwałością chwytał i do innych zasobów w swym płaszczu usuwał, wciąż deklamując. Gdyśmy odbywali pobożne procesje parami, komenderował nami głosem piorunującym, jak dywizją dragonów, na widowisko ludowi. Nie pojmuję, jak to wszystko cierpiano; ten nieszczęśliwy skończył przecież utratą rozumu, gdy krótki kożuch i karabelę przywdziawszy, podczas kazania wszedł na ambonę, kaznodzieję za kołnierz porwał i chciał mieć naukę. Ten wypadek zdał się bacznej zwierzchności dostatecznym do usunięcia tego nauczyciela, jakoż jużeśmy go potem nie widzieli.

Był drugi profesor, Niemiec, nazwiskiem Schmidt, którego zawsze zachowam w pamięci. Proszę córki, dla której domowej rozrywki godziny spoczynku pisaniu tych kartek poświęcam, aby kiedy i za niego westchnęła do Boga. Stan poczciwego nauczyciela jest zawsze stanem męczeńskim, zasłużonym ludzkości, który niezawdzięczany cierpieć musi niesforności, jakie dzieci bądź od natury, bądź od rodziców przynoszą, który jak najemnik za lichą zapłatę co rok nowe pola obsiewać i plewić musi. Był to człowiek rzadko wolny od pedantyzmu, łagodnie i z przywiązaniem około swojej winnicy chodzący. Postrzegł on niejakie naturalne zdolności moje w pismach, jakie mu po łacinie i po niemiecku podawałem. Gdy raz moją robotę rozbierał, powiedział wręcz, iż ją przepisałem skądinąd. Pochlebiało to mojej miłości własnej, lecz razem na-

http://rcin.org.pl

pełniało żalem, iż u nauczyciela, któregom kochał, mieć nie mogę dobrego mniemania, który sam dał poznać, iż na nie zdołałem zasłużyć.

Gdy się o tem wywiedział, zaprosił mnie raz na podwieczorek (były to dla mnie pierwsze w życiu zaprosiny), zręcznie i łagodnie począł wybadywać, lecz nieszczęściem nie poznał we mnie nic więcej, jak zaród poety w języku, który uważał za niewdzięczny i już z narodem umierający. Zachęcał mnie do poezji niemieckiej, pożyczył mi pism Utza, Kleista, Hagedorna.[1] Pożerałem szczególniej Kleista, lecz zamiast próbować sił w wierszach niemieckich, przynosiłem mu przekłady polskie z tychże poetów, a jako wynagrodzenie za posłuszeństwo, oddawałem robotę w prozie niemieckiej. Obojętny był na to, że ze wszystkich współuczniów najmniej się uczyłem obszernych przepisów o syllogizmach,[2] a gdy się przekonał o zupełnym wstręcie moim do matematyki, której początki dopiero w tej klasie dawano, całkiem mnie od niej uwolnił. To jednak zupełne zaniedbanie tej nauki wiele mi później przykrości sprawiło.

Chciwy na książki polskie, nigdzie ich dostać nie mogłem, prócz niektórych romansów, które mnie wcale nie zajmowały. Z niemieckich, oprócz wspomnianych wyżej poetów, udało mi się dostać Goethego i Wielanda[3] niektóre poemata. Pierwszy długo był moim ulubieńcem i najwięcej odpowiadał memu usposobieniu. Pisałem i tłumaczyłem po polsku, bez żadnego wyobrażenia o gramatyce języka, nawet pisowni polskiej. Uzbierawszy sumkę przeszło zł. 10, znalazłem

---

[1] Jan Piotr Uz. (1720–1796), Ewald Christian Kleist (1715—1759) i Fryderyk Hagedorn (1708—1754) należeli do grupy t. zw. anakreontystów niemieckich XVIII wieku.

[2] Specjalne formuły wnioskowania, znane w logice od czasów Arystotelesa.

[3] Krzysztof Marcin Wieland (1733—1813), jeden z najwybitniejszych pisarzy niemieckich XVIII w.

http://rcin.org.pl

sposobność sprowadzić sobie parę książek polskich z Krakowa. Niecierpliwość moja w wyglądaniu sąsiada, który miał z niemi przybyć, była taką, iż przez tydzień może wychodziłem pół mili na gościniec, ażali go nie spotkam. Zakazane było czytanie polskich książek z powodu, jak mówiono, aby nie zaniedbywać obcych języków. Prefekt szkół[1] dowiedział się o tym transporcie dla mnie, przybył do stancji, i bez wszelkiego względu zabrał tę kontrabandę; książki te były: *Wybór poezji dla szkół* przez Pijarów w Warszawie wydany — *Paweł i Wirginia*, przez B. de Saint-Pierre po polsku,[2] i jakieś dziełko Floriana.[3] Obciążonego tym łupem księdza musiałem odprowadzić do domu, gdyż mieszkałem na wzgórku, z którego zejście podczas odwilży było śliskie. Prośby moje o oddanie tych książek były daremne. Często nawet odbierałem wyrzuty, iż czytam książki zakazane, co już wtenczas burzliwością nazywano.

Jednego razu, kupując u przekupki jagody, postrzegłem, iż dla zrobienia trąbki dla ich wsypania, udarła z dawnej książki kartkę z gockim drukiem,[4] na której dostrzegłem napis: *Rytmy Jana Kochanowskiego*, którego tylko niektóre psalmy z książek nabożnych znałem. Zachwycony tym skarbem, bez żadnego namysłu porwałem książkę, a raczej to, co jeszcze na trąbki nie poszło, i najspieszniej z nią uciekłem. Przekupka, a za nią wszystkie towarzyszki narobiły hałasu, prefekt jakoś znalazł się na rynku, i tak zdobycz moją, jako niegodziwy winowajca, oddać musiałem, a sam na kilka godzin poszedłem do kozy, gdzie miałem dosyć czasu dumać nad moją nieroz-

[1] ksiądz Chróściński.

[2] Bernardin de Saint-Pierre (1737—1814), najznakomitszy uczeń Russa, autor sielanki p. t. *Paul et Virginie* (1787).

[3] Jean Pierre Claris de Florian (1755—1794), autor lubianych w XVIII w. powiastek i bajek.

[4] t. j. gotyckiemi czcionkami drukowaną.

http://rcin.org.pl

tropnością, iż z właścicielką nie wszedłem w układy, którąby zapewne *Rytmy Jana Kochanowskiego* zamieniła na jakie studenckie kajeta. Uwolniony nie śmiałem się jej i towarzyszom pokazać.

Wśród tych przeszkód przywiązanie moje do poezji coraz więcej wzrastało, najwięcej czułem przyjemności ukryć się w zbożu i tam ołówkiem pisać, co mi na myśl przyszło, i deklamować. Na pięknej górze św. Marcina, przy gruzach zamku Tarnowskich, w ogrodzie Puślik, ćwierć mili od miasta, do księcia Sanguszki należącym, poddawałem się zewnętrznym wrażeniom i używałem. Rozkoszna była blisko miasta dolina, prowadząca do drewnianego kościoła św. Trójcy, środkiem której płynął potok pomiędzy olszynami, miejsce miłej wrzawy różnego ptactwa. Lecz najmilsze były mi przechadzki po brzegu rzeki Biały lub po gościńcu; woda zdaleka daleko płynąca; spotykanie dalekich podróżnych, mianowicie furmanów niemieckich, których kraj [1] przez poznanie poetów był dla mnie poetycznym; oto, co daleko żywiej do marzeń skłaniało, niż spokojne góry i doliny. Stawać przy oberżach, przypatrywać się podróżnym zakurzonym, brykom furmańskim, i przenosić się myślą w odległe miejsca, było dla mnie niejako odbywać podróż w dalekie, urocze strony, do których tęskniłem. Długo nie miałem o szczęściu wyobrażenia wyższego, jak jechać i jechać najdalej.

Brat Jędrzej pisywał do mnie ze Lwowa,[2] przesyłając swoje poezje i rady nad mojemi. Czyste jego serce gorzało poezją dla samej cnoty, i wszystkie jego listy dążyły najwięcej do obudzenia we mnie moralnych uczuć. Nie miałem podówczas ważniejszej chwili życia, jak gdy mi przysłał drukowany tomik swoich

---

[1] t. j. Niemcy.

[2] W 1807 r. przeniósł się Andrzej znowu z uniwersytetu krakowskiego na lwowski.

http://rcin.org.pl

poezyj, w którym, miłością braterską powodowany, umieścił parę mych wierszy. Radość ze sławy brata i mojej była trudną do wyrażenia; to tylko nieprzyjemnie mi było, iż czyniąc wzmiankę o mnie, który już retoryki [1] słuchałem, małym chłopcem mnie nazwał; w samej rzeczy pochwała ta mogłaby mieć na mnie wpływ szkodliwy, gdybym był otoczony ludźmi, coby na studenta jakąkolwiek uwagę zwrócili. Z honorarjum, jakie za to pismo otrzymał, udzielił mi 5 zł. reńskich; wiadomość o tem więcej niżeli o książce rozeszła się między kolegami, z którymi tę sumę upojony radością w większej części straciłem.[2]

W ogólności nie znalazłem koło siebie ani jednej istoty, którąby moje zamiłowanie dzieliła, a właśnie w tym czasie uczułem potrzebę, nie tak obcowania z poezją jak przyjaźni, które to uczucie w młodym wieku tak jest żywo zajmujące. Myślałem i wierzyłem, że każda przyjaźń zawiązana trwać powinna wiecznie i żyć poświęceniem. Młodzieniec jeden, Karpiński, samem nazwiskiem zwrócił na siebie moją uwagę, choć nie był krewnym poety, i do poezji najmniejszego nie czuł powabu. Powolny, cichy, jak anioł niewinny, zajął całe me serce i stąd ten tylko zysk odniósł, iż go gwałtem trapiłem, aby odpowiednie imieniu był poetą. Dobroć jego czyniła, co mogła, jam zachęcał, pomagał, ale to nie szło, ubogi i słabowity przestał do szkół chodzić i więcej o nim nie słyszałem.

W Adamie Chłędowskim [3] spodziewałem się znaleźć skarb, któregom pragnął; wychowanie jego było

---

[1] t. j. był uczniem czwartej (przedostatniej) klasy gimnazjalnej (w r. 1807/8).

[2] *Zabawki wierszem* przez Andrzeja Brodzińskiego wyszły w 1807/8 r. Znajduje się tam istotnie kilka wierszyków Kazimierza, przesłanych bratu do oceny, a mianowicie na str. 145–149: *Nagrobek grabarzowi. Nagrobek rycerzowi, Nagrobek kochance, Złoto, Jabłko i kij, Do lutni brata.*

[3] Adam Tomasz Chłędowski (1790–1855), z zamożnej rodziny ziemiańskiej w Krośnieńskiem, późniejszy urzędnik

http://rcin.org.pl

staranne w domu; miał wiele książek, map i rysunków; był jednym z najzdatniejszych i najciekawszych, ale przesadzonej mojej sentymentalności wcale nie odpowiedział. Pisałem do niego wiersze pełne uniesień przyjaźni, kochałem go tem więcej, że wzajemności nie widziałem; jego ton zawsze żartobliwy, dobry był w porównaniu z mojem ubóstwem, czyniły mnie do niego nieśmiałym, i często w samotności płakałem nad moją nieszczęśliwą przyjaźnią. Bywałem jednak u niego aż do czasu, gdy stryj jego z prowincji przybył, i ujrzawszy mnie i po moich ubogich sukniach osądziwszy, chcąc synowca swego od złego towarzystwa uchronić, groźnym tonem kazał mi się oddalić, co na mnie takie sprawiło wrażenie, że z Chłędowskim wszędzie wszelkiej unikałem rozmowy, i poznałem, iż to zdarzenie było dla niego obojętnem. Do dziś dnia łączyły mnie z Chłędowskim różne stosunki, ale żaden ślad dawnej przyjaźni odnowić się nie mógł.

Nakoniec znalazłem przyjaciela, jakiego sobie tylko egzaltowana moja wyobraźnia wystawić mogła. Był to syn profesora, Parczewski Karol, o parę i więcej lat odemnie młodszy, pobożny, pracowity, w mych czasach piękny, jak anioł, zawsze uniesiony, pełen do poezji skłonności. Zdarzenie zbyt smutne było początkiem naszej najgorętszej przyjaźni. Poszło nas kilkunastu do rzeki Biały kąpać się, gdzie kolega nasz Przygodziński daleko się oddalił i niepostrzeżony od nikogo utonął.[1] W kilkanaście dni już znaleziono jego

---

w Warszawie, a także literat i redaktor kilku pism, m. in. *Gazety Literackiej* (1821—1822). List Brodzińskiego do niego, z powodu zamieszczonej w *Gazecie Literackiej* recenzji 2 tomików *Poezyj* z 1821 r., ogłosił Al. Łucki w *Nieznanych pismach prozą K. Brodzińskiego* 1910 (*Archiwum do dziejów literatury i oświaty*, tom XII).

[1] Stało się to w r. szkolnym 1807/8 (gdy Brodziński był w klasie czwartej), jak świadczy wzmianka w katalogu szkolnym gimnazjum tarnowskiego.

http://rcin.org.pl

ciało okropnie oszpecone i przywieziono do domu. Całą noc po tym widoku nie spałem i łzami papier polewając, napisałem Elegją na śmierć nieszczęśliwego;[1] jedyna poezja, którą spółkolegom przeczytałem, która ich wszystkich zajęła, jako wynikła z zdarzenia, które na wszystkich uczyniło wrażenie. Nawet profesorowie pochwalili tę moją pracę, a młody Parczewski ze łzami rzucił się w moje objęcia, nie mogąc słowa wymówić. On przyprowadził do mnie nieszczęśliwą matkę Przygodzińskiego, która, dowiedziawszy się o okropnym losie syna, z prowincji przybyła. Ona rzewnie płacząc ściskała mnie, według jej wyrazów, jak syna, i dziękowała za biedne wiersze o nim, które jej doszły. Mało kto może uwierzy, że to był dla mnie pierwszy uścisk kobiety i matki, że to było u mnie rzeczą nadzwyczajną, i żem płakał, jak małe dziecię, myśląc, że nie mam Matki, którąby na mój zgon była podobnie tkliwą.

Ani Parczewski, ani ja nic nie wiedzieliśmy o sławnej przyjaźni u Greków, ale wzajemne nasze przywiązanie było nadzwyczajne, i śmiem powiedzieć, przypominało przyjaźń grecką. Pisaliśmy do siebie nawzajem wiersze pełne naszych najżywszych uniesień przyjaźni, przy powitaniu i żegnaniu na parę godzin nie mogliśmy się od ust oderwać, niceśmy nie mieli skrytego, nic osobnego dla siebie. Uczucie przyjaźni wzbiło nas do takiej pobożności, żeśmy po kościołach, po cmentarzach razem chodzili, na klęczkach się modlili: on za mnie, ja za niego, on za moich zmarłych, ja za jego żywych rodziców. Płakaliśmy razem z rozrzewnieniem, jak ludzie najszczęśliwsi i kryli się przed

[1] Zachował się z niej urywek, ogłoszony przez Fr. S. Dmochowskiego w rozprawie *O życiu i pismach K. Brodzińskiego* (Bibl. Warsz. 1870 i odbitka z 1871). — Przeróbką tej elegji jest wiersz Brodzińskiego z r. 1817 p. t. *Wiersz żałobny* (p. *Wybór poezyj K. Brodzińskiego* w *Bibl. Narod.* Serja I, tom 34).

http://rcin.org.pl

płochą młodzieżą, któraby nas z tych uczuć wyśmiewać mogła. Z nim zapomniałem o wszelkiej sztuce w poezji; uczucie, i tylko wzajemne dla siebie uczucie, nas zajmowało. Płakaliśmy, ściskali się, gdyśmy co razem swojego lub obcego czytali. Martwiłem się skrycie, żem jego niegodny; postać jego była ujmującą: rumieniec przy białości i przy krętych włosach blondynowych, ubiór staranny, a najwięcej piękne polerowne ułożenie, czyniły go w moich oczach czemś niezmiernie wyższem nademnie. Ja dzikości mojej dotąd nie pozbyłem się, i ubiór był ułożeniu memu odpowiedni; sam jeden chodziłem w surduciku z płócienka z czarnemi prążkami, co mnie dziwnie oryginalnym czyniło.

Po długich prośbach i wahaniu się, ośmieliłem się wejść do jego rodziców. Ojciec, prosty i poczciwy, zalecił mi uczyć się pilnie języków, i przyjął bezpłatnie na lekcje języka francuskiego, który on jeden prywatnie w Tarnowie wykładał. Matka wdała się w moje domowe potrzeby, które, jak dla mnie były istotnem dobrodziejstwem, tak truły we mnie dotąd tak czyste uczucia przyjaźni; tłumiłem je w sobie, jątrząc się myślą, czy podejrzane nie będą.

To zaczęcie życia prawdziwie dla mnie elizejskiego,[1] przerwane zostało oddaleniem się mojem na wieś do Służewa, gdzie ugodzony byłem do 4 synów, których miałem być instruktorem.[2] Służewski był obywatel na jednej małej wiosce, mający 7 synów, dla których całe życie poświęcał. Sześć tygodni tylko w tym domu przepędziłem, gdzie panowały staropolskie obyczaje, prostota i zgoda domowa; byłyby [one]

---

[1] niebiańskiego.

[2] Było to podczas wakacyj roku 1808 (po ukończeniu klasy IV). Wieś ta, mylnie nazwana tu Służewem, zwała się w rzeczywistości Wolą Lubecką; toż i Służewscy w listach współczesnych Brodzińskiego zwą się Służnowscy.

http://rcin.org.pl

dla mnie przyjemne, gdybym był w stanie podołać moim obowiązkom, prowadzenia czterech niezmiernie żywych wyrostków, z których dwaj nie o wiele młodsi odemnie byli. Na szlachectwie tu także bardzo wiele zakładano i dla tego obiecywałem sobie nieprzyjemność, gdy tamże zastałem moją dawną wdowę panią Putiatycką, która podupadła na biednej swojej fortunie i na zdrowiu, i w tym domu jako krewna przytułek znalazła; lecz ujrzałem ją nader uprzejmą i pełną dla mnie dobroci, ku czemu posłużyła szczególniej następna okoliczność. Uboga moja garderoba dochodziła do tego stanu ostateczności, tak dalece, że zmuszony byłem jedyny mój surducik igłą od zupełnego rozprzężenia jego części ratować, zwłaszcza na dzień imienin gospodarza domu. Dla spokojnego odbycia tej operacji udałem się w gęstwinę nad strumykiem, gdzie się lubiłem z moim ołówkiem przechadzać. Kiedy w największej spokojności dzieło moje do połowy doszło, z niemałem pomięszaniem ujrzałem przed sobą panią Putiatycką. Niepodobna mi było zarzucić sukni będącej właśnie w robocie, ani śmiałem stanąć przed damą nawpółrozebrany. Z największą jednak łagodnością wyprowadziła mnie sama z ambarasu, unikając wszelkiego zawstydzenia; rzuciła znawczem okiem na moją pracę, uczyniła krytyczne objaśnienia, w końcu podjęła się sama restauracji mego surduta i spiesznie oddaliła się po lepsze igłę i nici. Jakoż po krótkiem posiedzeniu dzieło zostało ukończone; wśród roboty usłyszałem dosyć dorzecznych morałów o pracowitości i znoszeniu ubóstwa; nakoniec względne przyrzeczenie, że ten wypadek zostanie między obojgiem świętą tajemnicą. Miałem dla tej damy największy szacunek, a ona była dla mnie uprzedzającą.

Po ferjach udałem się z mymi elewami do Tarnowa. Dla pięciu najęty mieliśmy alkierzyk u krawca, z taką ugodą, iż gospodyni obowiązana była gotować nam żywność, którą posłaniec co sobota na plecach

http://rcin.org.pl

przynosił z pewną sumką na mięso, cztery razy na tydzień w mieście kupowane; miałem na spiżarnię obszerną skrzynię, której byłem szafarzem. Przy takiem mieszkaniu stałe miałem wynagrodzenie 25 ryńskich na rok. Tem i parą innych lekcyj opędzałem wszystkie moje potrzeby, gdyż od opiekuna i od krewnych już żadnej nie miałem pomocy.

Z Parczewskim żyliśmy jak dwaj bracia, i matka jego okazała dla mnie macierzyńską troskliwość. Zapobiegała różnym moim potrzebom i w przypadłej chorobie wszelką dawała pomoc. Czytaliśmy bardzo wiele, gdyż miał sposobność dostawania z różnych miejsc książek; między żytem, po mojemu schronieni, przeczytaliśmy *Iliadę* Dmochowskiego[1] i *Wybór pisarzów polskich*, których Mostowski zaczął wydawać.[2] Więcej jednak niż wszystko zajęły nas *Nocy Jounga*[3] prozą, w Lublinie wydane; dręczyliśmy biedną jego matkę, czytając jej jednotonne to dzieło, mimo wzniosłości dość z siebie nudne.

Kończąc już ostatnią klasę szkół, zacząłem uczuwać niespokojność o moją przyszłość. Ile opiekuna wyrozumieć mogłem, dał mi do poznania, że najlepiej będzie udać się do dworu za pisarza, lub wejść do wojska austrjackiego, i raz mi powiedział: »I żołnierzowi prostemu bardzo przystoi, gdy po mustrze przy książce spoczywa«. Niewola uczenia dzieci zdała mi się nieznośną; macocha ujeżdżała często 4 konie w paradnym pojeździe po rynku tarnowskim, lecz ani o mnie kiedy się spytała, ani ja do niej zgłosić się nie śmiałem.

Po utworzeniu Księstwa Warszawskiego zaczęły nas dochodzić niektóre gazety warszawskie; coraz

---

[1] t. j. *Iljadę* w tłumaczeniu Franciszka Ksawerego Dmochowskiego.

[2] Tadeusz Mostowski (1766—1842) wydał, w latach 1803—1805, ów *Wybór* w 27 tomach.

[3] Young, poeta angielski XVIII w., autor *Nocy*, tłumaczonych na język polski wielokrotnie, począwszy od 1785 r.

http://rcin.org.pl

powszechniejsze były rozmowy o niem i o Polsce, mnie najwięcej zajmowały literackie wiadomości. Czytałem o biskupie Albertrandym,[1] i ktoś wystawił mi bardzo jego gorliwość i zamiłowanie w ludziach, oddających się naukom. Snowałem więc różne projekta dostania się do Warszawy, ale widziałem zupełnie moją niemożność przy takich środkach; zebrałem, co mi się najlepszego z moich rymów zdało, napisałem list pełen zapału do biskupa Albertrandego, prosząc, aby mnie do jakichkolwiek usług w Warszawie przyjął. List ten nie miałby był zapewne skutku, gdyby był doszedł, lecz odebrałem go napowrót z poczty, gdyż właśnie w tym czasie Albertrandy żyć przestał. Oddano mi go odpieczętowany z połajaniem, gdyż był pełen niewczesnych patrjotycznych uniesień.

Trudno sobie wystawić, jak mało mieliśmy wszyscy młodzi wyobrażenia o naszej Polsce, o jej dziejach i stanie; miłość ku niej żyła tylko wrodzonem uczuciem, niedokładnemi tradycjami i jakąś przez zwyczaj szkolny odziedziczoną nienawiścią ku Niemcom. Ja tej nienawiści nie czułem; malowanie pięknej natury w niemieckich poetach najwięcej mnie zajmowało, przywiązało mnie oraz do ich kraju i ludzi, których sobie zawsze idyllicznie, po Gesnerowsku wyobrażałem. Nawet w towarzystwie uczniów (Niemców) upatrywałem wogóle więcej przyjemności, może stąd, iż powszechnie byli prześladowani, ale więcej dlatego, iż mieli więcej słodyczy i przywiązania do kraju, chociaż mniej bystrości. Młodzież polska była wtedy daleko więcej niż dzisiaj nieposkromioną. Bitwy z wieśniakami z okolic (nie mówię już o Żydach), rabowanie w żołnierski sposób owoców, grochu, rzepy z pola, wyzywanie na kije, były to zwyczajne zabawy.

---

[1] Jan Albertrandy (1731—1808), biskup, historyk, pierwszy prezes Towarzystwa Przyjaciół nauk w Warszawie.

http://rcin.org.pl

Uczucia i rozmowy patrjotyczne odzywać się zaczęły od roku 1806,[1] i mnóstwo młodzieży przez rozmaite dowcipne sposoby umiało się przedrzeć do szeregów Napoleona, i każdy z nas zakładał sobie, iż w tym tylko celu dorasta. Zjawiły się śpiewy patrjotyczne i dysputy o polityce, z któremi zawsze udawaliśmy się do lasu. O wolności, o prawach człowieka nie mieliśmy żadnego wyobrażenia; całą podnietą naszych uniesień było imię Kościuszki i Dąbrowskiego, strój polski i język. Księstwo Warszawskie zdawało nam się krajem cudów, ziemią obiecaną; wszelkie, i groźne i łagodne środki ku zwróceniu nas od okazywania tych uczuć, były daremne. Przysłano raz z Wiednia pieśń niemiecką, to jest modlitwę za cesarza, aby w kościele śpiewaną była przez uczniów; kilku najstarszym, którzy zwykle podczas śpiewania zaczynali, zalecano wyuczyć nas tej pieśni do śpiewania w kościele. Nauka odbywała się w polu, bez świadków, wynaleziono więc do tej pieśni nutę mazurka, i tak wyuczeni zaczęliśmy ją śpiewać z całej mocy w kościele. Zdziwieni i nieszczęśliwi profesorowie, obiegając nasze szeregi, nie mogli przerwać tej niedorzecznej nuty. Przewódcy nasi skazani byli na klęczenie w środku kościoła przez msze całego roku, lecz wszystka młodzież umówiła się z nimi razem tę karę odbywać. Łagodny rząd austrjacki całą tę sprawę w kilka dni umorzył. W roku 1809, przed rozpoczęciem wojny, sztabowy oficer, delegowany do naszych szkół, odczytał odezwę, zachęcając, aby młodzież udawała się w szeregi do obrony cesarza i państwa austrjackiego. Po mowie z wielkim zapałem wynurzonej zapytał, czy jest kto gotów bronić sprawę

[1] T. j. gdy Napoleon, pobiwszy Prusaków pod Jeną, przybył do Poznania, potem do Warszawy, a Polacy garnęli się zewsząd pod jego sztandary, oczekując odbudowania niepodległej Polski.

http://rcin.org.pl

ojczyzny i króla. Po długiem milczeniu złośliwy jeden kolega wymówił moje nazwisko, kazano mi wystąpić na środek: szczupły, zdziwiony, a więcej jeszcze przelękniony, wzbudziłem śmiech powszechny w delegacie, profesorach i uczniach, i w taki sposób zakończyła się ta scena patetyczna.

W tym czasie wydał był Collin,[1] poeta, w Wiedniu pieśni patrjotyczne; poezje te były pełne czystej miłości Ojczyzny, uczuć ludzkości i pięknych wiejskich obrazów i tak mnie zajęły, iż nie wchodząc bynajmniej, iż to Niemiec dla Niemców przeciw Francuzom, obrońcom Polski, pisał, w kilka dni z łatwością, jakiej dotąd nie czułem, wszystko wierszem polskim oddałem. Nie widziałem w tem nic nieprzyzwoitego, lub przeciwnego dobremu Polakowi; owszem zdawało mi się, że te uczucia są polskie, i nie mając myśli żadnych wyrzutów, czytałem ją przyjaciołom, którzy tylko radzili mi zmienić miejsca, gdzie była wzmianka o Niemcu lub o domu Habsburgskim. W kilka dni, gdy się ta moja praca rozeszła, wezwany zostałem urzędownie do kapitana cyrkułu. Trzymając w ręku pięknie pisane wszystkie te pieśni, oddał pochwałę memu patrjotyzmowi, z czego obecny prefekt szkół niezmiernie się cieszył i mnie w głowę całował. Urzędnik oświadczył nakoniec, że ten mój przekład przesłany będzie do Wiednia, że mu znajomy jest mój stan, że zatem przedstawi mnie do instytutu Terezjańskiego[2] w Wiedniu, gdzie na koszcie cesarskim wyższe nauki pobierać i ciągłej opieki doznawać będę.

Zadziwienie i radość moja chwilowa trudna jest do opisania. Być w Wiedniu, pobierać wyższe nauki,

---

[1] Henryk Józef v. Collin (1771—1811) wydał w 1809 r. w Wiedniu zbiór poezyj patrjotycznych p. t. *Wehrmannslieder.*

[2] Sławny instytut i szkoła, założona przez Marję Teresę pod Wiedniem, gdzie kształcili się na koszt państwa zdolni synowie oficerów.

http://rcin.org.pl

mieć zapewniony dalszy sposób do życia, było to szczęście, które w ostateczności mojej jak z nieba mi spadło. Nie pojmuję skąd to poszło, że z kolegów tyle tchnących nienawiścią ku Niemcom, tyle zajętych toczącą się wojną w Księstwie Warszawskiem, żaden nie dał mi uczuć nieprzyzwoitości mego położenia. Z tem samem niewinnem uczuciem, z jakiem tłumaczyłem Collina, składałem pieśni patrjotyczne polskie, z których kilka jeszcze dotąd mi się dochowało; kilku już kolegów, mimo surowego zagrożenia szubienicą, zniknęło udając się do wojska polskiego; mnie nikt nie namawiał do tego, bo znaną była powszechnie moja słabowitość i zupełna niesposobność do wojska. Tymczasem wszystkie moje marzenia o szczęściu w Wiedniu przemogła tęskność do kraju, który mógł nazwać się polskim. Całe wieczory trawiłem samotnie w Polsce, ze łzami wylewałem na papier różne uczucia, jakie mną miotały, czyniłem sobie wyrzuty, stanowiłem ujść do wojska polskiego, lecz natura moja wzdrygała się od wszelkich wojen. Parczewski odwodził mnie od myślenia o tem, ale uczucia zdawał się podzielać.

Przypadkiem zasłyszałem o jednym uczniu, Niemierzycu, o 4 może lata młodszym odemnie, który miał zamiar do Polaków się udać. Jeden wieczór rozmowy ustalił nasze postanowienie, przedsięwzieliśmy nazajutrz wyruszyć. Pomógł do tego oficer polski przebrany, który przepisał nam drogę i przyrzekł pomoc obywatelów. Tego samego wieczora udałem się do Parczewskich, zwierzyć się mego zamiaru. Ojciec chciał niby o tem nie wiedzieć, matka i syn, lubo z płaczem, przystali na to. Rano nazajutrz o świcie udałem się jeszcze do nich; od matki otrzymałem naprzód medalik z Matką Boską w skórkę obszyty, który mi kazała na piersiach nosić, trzy dukaty w złocie i kilkanaście reńskich, a nawet paczkę szarpi. Po rzewnem błogosławieństwie i dziękach, pożegnałem przyjaciela i dobrodziejów, i w połączeniu z towarzyszem przygód

http://rcin.org.pl

ruszyliśmy polami w naszą podróż. Staranie tymczasowe o moich elewach aż do przyjazdu ojca przyjął na siebie Parczewski.

II

Wędrówka nasza była dość niebezpieczną. Zapewniano nas, że korpus obserwacyjny Galiczyna,[1] który wówczas ciągnął niezmiernie powoli przez Galicją, miał udział w chwytaniu zbiegów do wojska polskiego. Omijaliśmy więc starannie wszelkie przewłóczące się komendy. Wstąpiliśmy do jednego obywatela, gdzieśmy zastali same kobiety. Posiliły nas i żałowały, szczególniej Niemierzyca, który obok mnie był malutki i jeszcze szczuplejszy. Nagle dano znać, iż kozacy wpadli na podwórze. My naturalnie uprzedzeniśmy byli, że to za nami. Spólnie więc z damami schowaliśmy się w różne kąty, żartując z tych najpierwszych dowodów naszej rycerskiej odwagi. Dalsza podróż odbywała się wszędzie pomyślnie. Obywatele i wieśniacy sami wzwyczajeni już byli w podobne przechody, mieli sposoby ułatwienia podróży i czynili to z wszelką patrjotyczną gorliwością. Blisko jednak granicy, w miejscu, które nam za najbezpieczniejsze wskazano, zostaliśmy schwytani przez komendę weteranów austrjackich, którzy, wyśmiawszy nas dowoli, przez jednego tylko żołnierza z bronią odesłali do komendy. Trzeba wiedzieć, że istotnie ogłoszony był dekret wieszania tych, którzy tajemnie granicę przebywają, lubo, ile mi wiadomo, do żadnej podobnej egzekucji nie przyszło. Zatem przestrach nasz był niemały. Dwaj młodzieńcy, mający cokolwiek więcej żołnierskiego ducha niż tylko poetycznego uniesienia ku służeniu ojczyźnie, byliby pewno znaleźli sposób po-

[1] Wódz rosyjski w wojnie 1809 r.

http://rcin.org.pl

zbycia się jednego żołnierza; nie związano nas, jak to czyniono w podobnych przypadkach, bo obadwaj byliśmy dobrze kulawi od spiesznej i dalekiej drogi, której my nie nawykli. Lecz tenże nad wszelkie spodziewanie sam podał nam ratunek. Przechodząc z nami przez lasek brzozowy, opuścił swój karabin, a długo wpatrując nam się w oczy, rzekł nakoniec: »Wy sem welkij krywdy Cesarowi ne zrobite«. Nie zrozumieliśmy do czego to dąży, aż gdy nas spytał, czy mamy wiele pieniędzy. Mój towarzysz miał przeszło dwieście reńskich, ja kilkanaście, bo o czterech dukatach zamilczałem. Kazał je sobie złożyć, cośmy natychmiast uczynili. Odrachował i po cztery reńskie obudwóm oddał, resztę z zimną krwią do kieszeni chowając, powtórzył: »Wy sem Cesarowi krywdi nie zrobite; możecie pójść do czorta«! Rzuciliśmy się jak dzieci na szyję tak szlachetnemu wybawcy, ściskając go serdecznie. Pokazał nam drogę, którędy bezpiecznie przejść możemy granicę i życzył najlepszego powodzenia! Jakoż dostaliśmy się w Sandomierskie, na ziemię przez Polaków zajętą, którąśmy jak dzicy ludzie całowali z radości. Poniżenie nasze przez tego żołnierza było wielkie, którego moc dopierośmy uczuli, gdyśmy bezpiecznie już do spoczynku się kładli. Straty pieniędzy wcaleśmy nie żałowali. Nie wiem czy ten żołnierz przez względnego komendanta miał zlecenie nas puścić, bo ciężko, aby się nie bał kary za swój postępek.

Doszła nas wiadomość, iż w tym właśnie czasie nastąpiło zawieszenie broni,[1] że wojsko polskie zwycięsko w swoim pochodzie do Krakowa weszło[2] i gdyby nie to zawieszenie przez Napoleona zrobione, całą Galicję zająćby mogło. Ruszyliśmy więc do Kra-

[1] W lipcu 1809 r. zawarł Napoleon rozejm z Austrją w Altenburgu.

[2] 15 lipca 1809 r. ks. Józef Poniatowski zajął Kraków.

http://rcin.org.pl

kowa i po drodze znaleźliśmy łatwo sposobność jechania, gdy zewsząd młodzież, obywatele a nawet kobiety, wszystko radością upojone, tamże ciągnęło.

Jak ja się czułem szczęśliwy, uwolniony od więzów nauczania i uczenia się, tak wszystko widziałem koło siebie szczęśliwe wyswobodzeniem z pod obcej przemocy i nadzieją świetnej Polski przyszłości. Rozliczne dowcipy przeciw Niemcom, powiastki o różnych dowodach waleczności wojska a więcej jeszcze o cudach Napoleona nad Dunajem, każdy nieznajomy, jako towarzysz minionych dni więzienia, ściskany, szumna wesołość, otwartość, równość stanów jednem tylko uczuciem zajętych, wszystkie te cechy ludu odmłodzonego, i naszą młodość upoiły szczęściem nieporównanem. Bawiono się i częstowano nietylko po dworach ale w karczmach i na gościńcu; obywatele przed wojskowymi i nie wojskowymi z puzder dobywali butelek, wykrzykując: Niech żyje Ojczyzna! Każdy miał jakąś nową wiadomość pomyślną, a ta była powodem nowego zdrowia, nowych uścisków. My, nowicjusze w tem wszystkiem, przyglądaliśmy się, jak mogli, by się także jakiemś słówkiem odznaczyć i swoje uczucia dać poznać.

Wszedłszy do Krakowa odurzeniśmy zostali wesołym zgiełkiem ludu wszelkiego stanu po ulicach. Cały rynek zajęty przez wojsko na nim obozujące, damy, oficerowie, prości żołnierze, bogaci kupcy, szlachta, chłopy, wszystko cieszyło się wzajemnym siebie widokiem zachwycone, bo się Polakami widzieli; kupcy obywatele siedzieli na krzesłach z pałaszami na straży przed kwaterami generałów lub rządowemi domami, obok nich kosze z winem i wędliny na serwetach rozłożone, znajomi i wojskowi zapraszani, raczyli się wznosząc zawsze okrzyki: Niech żyje Polska! Napoleon Wielki! Książę Józef! Żołnierze rozłożeni byli w budach, zwykle dawniej na jarmarki przyrządzanych, mając do sytu przynoszonej żywności i trun-

http://rcin.org.pl

ków. Obok starych oficerów, na których było znać trudy wojenne, wyszarzane mundury i rzadkie naówczas krzyże polskie lub legji honorowej, tyleż jeżeli nie więcej widzieć można było nowych rycerzy, w rozmaitych mundurach, a nawet zdala słychać ich było po brzęku długo rozpuszczonych szabel. W oknach rynku wszędzie widać było oficerów i żołnierzy młodych i starych, matrony i dziewice, wszystko w rodzinnej poufałości i weselu. Cały ten zajmujący obraz ćmił tylko widok wojska rosyjskiego, które, jak wiadomo, starało się w tej samej chwili wejść do Krakowa od Podgórza, w której doń zwycięzcy Polacy od Kleparza weszli.

Polacy mieli swój główny odwach w ratuszu, oni obok ku kościołowi Panny Marji. Zaciągowi na wartę przypatrywał się tłum ludu, zmianie zaś straży moskiewskiej chłopcy uliczni podrzeźniali. Sztywność i niewola żołnierza carskiego dziwnie odbijała od swobodnej wesołości naszych żołnierzy. Cel przybycia tych gości nieproszonych, ani przyjaciół ni nieprzyjaciół, w chwili wylania się patrjotycznego był dla ludu niepojętym. Zaczepki żołnierzy, wyzywania między oficerami wojsk obudwu były cogodzinne. Atoli Książę Józef przez pełne grzeczności obejście się z młodym Suwarowem, z umysłu publicznie okazywane, potrafił utrzymać potrzebną harmonję, bo w tym szale uczuć narodowej wolności żadne rozkazy i policja nie mogłyby były nieprzyzwoitościom zapobiec.

Spotykaliśmy wielu naszych kolegów i znajomych, częścią już od r. 1806 w wojsku będących, częścią świeżo przed nami przybyłych, wielu, co jeszcze sobie pułków nie wybrali lub nie mogli się doczekać munduru. Strwożeni zostaliśmy wieścią, że dla natłoku roślejszych może już przyjęci nie będziemy. Nakoniec dowiedziałem się, iż Reklewski Wincenty,[1] niegdyś

[1] Wincenty Reklewski (1786—1812), poeta, wydał 1811 r. zbiorek poezyj p. t. *Pieśni miejskie*; inne pisma wydał po

spółuczeń brata w akademji krakowskiej, który w r. 1806 wszedł do wojska, komenderuje kompanją artylerji. Znałem go nieco, a więcej jeszcze mój towarzysz, jako Sandomierzanina i sąsiada swojego. Nie wiele się namyślając udaliśmy się do niego z oświadczeniem, iż pod jego rozkazami pragniemy służyć ojczyźnie. Pojrzał na nas, na pół z uśmiechem, na pół z litością, co bardzo nasz entuzjazm osłabiło. Nakoniec spytał, czy umiemy pić wódkę, żyda za brodę targać, i coś trzeciego. Reklewski nie miał wtedy lat jak 26, czerstwej twarzy sarmackiej, rumianej, oczu pełnych życia, a przy zapale rycerskim malowała się na czole jego niewypowiedziana dobroć i szlachetność duszy. Upojony był wtedy szczęściem, jakiego tylko polski młodzieniec dosięgnąć może, bo walczył zwycięsko w Sandomierzu, w ziemi swojej rodzinnej, bo wszedł do Krakowa, w którym zawsze o wybawieniu go marzył, bo razem i krzyżem kawalerskim i stopniem kapitana artylerji zaszczycony został i tak go rodzice i siostry do Krakowa witać przybyły. Żart powyższy, który nam się zdał niewczesnym, był tylko wyrazem tonu wojska podówczas, bo Reklewski aż nadto był znany z dziewiczej swojej skromności i łagodnego obejścia się z ludźmi. Wśród rozmowy przysunął się do nas sędziwy, w kontuszu, ojciec jego i zawołał: zapisz ich kapitanie, rozrosną się w obozie a przez dwa miesiące zawieszenia broni poduczysz ich nabijania armaty. Stało się tak, iż nas zapisano i pozwolono sprawić mundur artylerji.

Szczęśliwi i dumni po uczynieniu tak ważnego kroku i chcąc się polskim zwyczajem z tego powodu uraczyć, poszliśmy do cukierni, dla nabrania, jak mówią, fantazji, ale miło mi wspomnieć, jak mało jeszcze obudwu zepsucie doszło, gdyśmy nie co innego, jak po kilka

---

jego śmierci Brodziński w *Pamiętniku Warszawskim* 1821 r. oraz Żegota Pauli w Krakowie w 1850 r.

http://rcin.org.pl

szklanek orszady wypili, napój, który ja, prawdę mówiąc, pierwszy raz kosztowałem.

Otrzymaliśmy kwaterę razem z trzema starymi żołnierzami, od tyłu, w izdebce ciemnej i wilgotnej, o jakie w Krakowie nie trudno. Z początku znosić musieliśmy żarty i przymówki żołnierzy, którzy nie wiele mieli względu dla nas, nie dla tego żeśmy byli rekruci, ale że studenci, niezdolni tornistra udźwignąć. Nasza łagodność, poszanowanie dla ich zasług łatwo nam ich zjednały, żeśmy mieli w nich doradców i nauczycielów w nowym naszym zawodzie. Ten początek zawodu naszego zachmurzył się nieco wypadkiem nieprzyjemnym, gdy jeden z ochotników, z nami na kwaterze stojący, okradł nas i spółżołnierzy naszych z lichych zasobów. Schwytany, karanym był według zwyczaju trzewikami przez wszystkich żołnierzy. Po ukończeniu tak nowego dla nas obrzędu, sierżant, który nim dyrygował, miał mowę do całej kompanji przeciw kradzieży, a zwracając szczególniej do nas nowo zaciążnych swą mowę, ostrzegł, że wszyscy tak karani będą w razie przestępstwa, dodając z ironją, choćby szlachta albo studenci. W kilka dni potem wypadła dla nas obudwu kwatera w domu publicznych kobiet, który wtedy przy natłoku wojsk polskich i rosyjskich jedyny był na cały Kraków i który dzień i noc odwiedzany był najwięcej od pijanych gości. Przy jednem wejściu jedne tylko drzwi nas dzieliły od miejsca bezeceństwa. Obrzydliwość sama była ratunkiem naszej niewinności, i te nieszczęśliwe kobiety uważały nas jak dzieci, nie dozwalając sobie nawet żartów z tego, że w mundurach naszych i przy pałaszach wcale nie chcieliśmy za dzieci uchodzić. Z miejsca zepsucia nie tylko uszliśmy szczęśliwie, ale i wstręt na zawsze uczuli od miejsc podobnych.

---

[1] Była to oda nie na dzień imienin, ale na dzień urodzin Napoleona, wydrukowana 15 sierpnia 1809 r. (p. *Wybór poezyj K. Brodzińskiego* w *Bibl. Narod.* Serja I, tom 34).

http://rcin.org.pl

W tym jednak domu napisałem szumną odę na dzień imienin Napoleona,[1] które w Warszawie najuroczyściej obchodzono; nie tyle szczęśliwy z tego, że pierwszy raz moje wiersze drukowałem, ile że dla wiadomości wszystkich moich znajomych mogłem się podpisać k a n o n i e r. Z tej ody tę miałem korzyść, że brat mój Andrzej, któremu w ręce wpadła, dowiedział się o mojem wejściu do wojska i listem uwiadomił, że równie wszedł ze Lwowa do 16-go pułku piechoty i stoi w Wawrzeńczycach, w wiosce niedaleko Krakowa. W tej chwili udałem się do kapitana z prośbą o urlop i biegłem wypytując się wszędzie po drodze, gdzie Wawrzeńczyce, gdzie pułk 16-sty?

[Przerwa w Pamiętnikach]

W Warszawie wystąpiłem najpierwej z elegją na wprowadzenie zwłok X-cia Poniatowskiego, którą na dzień tego smutnego obrzędu dałem do druku.[1] Nadspodziewane powodzenie tej poezji winienem więcej powszechnemu wówczas uczuciu publiczności, aniżeli mojemu talentowi. Mieszkańcy Warszawy ze łzami spieszyli za rogatki powitać szczątki nieszczęśliwych rycerzów, zwłoki wodza swojego prowadzących. W kościele i po ulicach widziałem egzemplarze mojej elegji w ręku mężczyzn i niewiast średniej klasy, co bardzo mojej próżności pochlebiało. Jednakże czuć mi się dała nadętość mojej pracy, skoro na tymże obrzędzie kazanie Woronicza[2] słyszałem. Płakało na tem kazaniu rycerstwo, lud i pa-

[1] Jest to wiersz wydrukowany przez Brodzińskiego w Warszawie w 1814 r. w osobnej broszurce p. t. *Wiersz na wprowadzenie zwłok ks. Józefa Poniatowskiego, naczelnego wodza wojsk polskich, przez toż wojsko z Francji wracające.* W Warszawie, dnia 9 września 1814 r. (p. *Wybór poezyj K. Brodzińskiego* w *Bibl. Narod.* Serja I, tom 34).

[2] Ks. Jan Paweł Woronicz (1757—1829), poeta oraz sławny kaznodzieja.

http://rcin.org.pl

nowie, i ja rzewnie płakałem; w jednej apostrofie Woronicza widziałem stokroć więcej uczucia i poezji, niźli w całej mojej elegji. Jednakże zachwiałem się w tej rzetelnej skromności, gdy w parę dni drukarz Dąbrowski nietylko mi odniósł dane na druk pieniądze, ale nadto złożył mi kilka dukatów, zeznając, że nam się obudwom nadspodziewanie powiodło i że moją elegję po trzeci raz kazał odbijać. Kudlicz [1] umiał ją całą na pamięć i gdzie tylko znalazł sposobność, z właściwem sobie czuciem i rozumieniem deklamował. Mnie zaś zakazał, abym do czytania wierszy nigdy ust nie otworzył, gdyż on najlepiej mógł czuć, jak mało miałem daru do tego. Elsner [2] ułożył do tej poezji muzykę, a Kudlicz na jednym muzykalnym wieczorze deklamował ją przy towarzyszeniu orkiestry przed liczną publicznością. Usilnie potem zajmowaliśmy się z Elsnerem i Kurpińskim [3] tą myślą, ażeby do zabaw wieczornych wprowadzić deklamację, o ile można z muzyką. Poezja dobrze deklamowana, w licznem zebraniu, przy towarzyszeniu muzyki, przybiera wszystkie własności, któremi czarować może, i to można uważać za najlepszy środek do jej zamiłowania w powszechności. Jakoż po kilku podobnych wieczorach wielu zaczęło smakować w poezji, tych nawet, którzy przeciw niej uprzedzeni byli. Lecz publiczność polska, u której obraza uczuć narodowych niczem być nagrodzoną nie może, okazała jawnie swój niesmak, gdy deklamacja podobna daną była na

---

[1] Bonawentura Kudlicz, wybitny aktor i deklamator w Warszawie w pierwszej połowie XIX w. (zm. w 1848 r.).

[2] Józef Elsner (1769—1854), z rodziny niemieckiej, znany kompozytor i muzykolog, rektor konserwatorjum warszawskiego i dyrektor opery.

[3] Karol Kurpiński (1785—1857), muzyk warszawski i kompozytor, twórca licznych oper; libretto do jednej z nich (*Kalmora*) dorobił Brodziński.

http://rcin.org.pl

benefis Dmuszewskiego[1] w tak zwanym *Quodlibet*,[2] gdzie wśród wyjątków ze scen komicznych, deklamowana była elegja *na zgon X-cia Poniatowskiego*; odtąd podobne deklamacje zniesione zostały w wieczorach muzykalnych, później zaś surowość cenzury teatralnej i wszelkich zabaw publicznych, której duchem było żadnych narodowych wspomnień nie dopuszczać, nie dozwoliła wskrzesić tej niewinnej zabawy.

Tej okoliczności winienem poznanie Kantorberego Tymowskiego,[3] z którym przez kilka lat najprzyjemniejsze chwile pędziłem. Równy ze mną w wieku, wyższy wychowaniem i wiadomościami, miał znakomity talent do poezji, chociaż w ocenieniu pisarzów byliśmy sobie z początku na głowę przeciwni. Cenił nadewszystko Horacjusza i nigdy o nim bez zapału nie mówił, i wiele bardzo korzystałem, gdyśmy razem Horacjusza, Tybulla i Propercjusza[4] rozbierali, gdyśmy sobie po połowie losem wyciągniętych elegij wierszem bezrymowym tłumaczyli. Wielbiąc spólnie starożytnych, nie mogliśmy się względem nowych pisarzów zgodzić. T... był nieprzepartym wielbicielem Woltera, którego ja nienawidziłem; on mało znał pisarzów niemieckich i według zwyczaju starszych literatów nimi pogardzał. Ponieważ T.... kochał lub nienawidził pisarzów zawsze o tyle, o ile się ich płody wolności religijnej lub politycznej tyczyły, stąd przy-

[1] Ludwik Dmuszewski (1777—1847), aktor i komedjopisarz, autor około 150 utworów dramatycznych.

[2] dosłownie: »co się podoba«, a więc tutaj: przedstawienie złożone z dowolnie pozbieranych urywków.

[3] Kantorbery Tomasz Tymowski (1790—1850), poeta-legjonista, za Królestwa Kongresowego poseł na Sejm i referendarz stanu, po r. 1831 udał się na emigrację i tam umarł.

[4] Poeci łacińscy (dwaj ostatni — elegicy) epoki augustowskiej.

http://rcin.org.pl

wiązanie jego do Woltera, chociaż z czasem przekonał się o jego słabej poetycznej stronie, było bardzo silne. Temi samemi przedmioty zajął go Szyller, który przez swoje poezje wcale na jego szlachetny charakter umiał wpływać. Kilka moich przekładów z Szyllera, dla niego zrobionych, tak go zajęły, że go odtąd równo z Horacjuszem czytywał, przekładał i przeciw napaściom naszych mniemanych klasyków[1] żarliwie bronił. Dotąd był T.... anakreontem,[2] wesołym jak Horacjusz lirykiem, lecz Szyllera poznawszy poważył się powierzać stronom wysokie i szlachetne uczucia. Ody jego o zamiłowaniu prawa narodowości i t. p. zjednały mu wysoki u młodzieży szacunek, i jak dawniej wielbiono jego lekkie stołowe pieśni,[3] które istotnie w swoim rodzaju były wyborne, tak z większym nierównie zapałem powtarzano jego pienia pełne szlachetnych uniesień. Gdy długi czas nad tłumaczeniem Wolterowskiego *Mahometa* pracował i przywykły do zwięzłości Horacego z deklamacyjnym stylem tragedji francuskiej nie mógł przyjść do ładu, radziłem mu wziąć w pomoc przekład niemiecki Goethego. Odtąd zaczął T.... cenić Goethego i uwielbiać talent, z jakim tenże *Mahometa* umiał Niemcom przyswoić. Gdyśmy potem tegoż *Fausta*, *Goetza von Berlichingen*, *Ifigenję* czytali, które to sztuki tyle się od *Mahometa*, co same od siebie różnią, otrząsaliśmy się[4] coraz więcej z jednostronności smaku. Odtąd T.... uważał francuskich poetów więcej za ludzi, z którymi się przez zwyczajne stosunki zaznajomił, aniżeli za kochanych swego serca przyjaciół.

T.... był w całem znaczeniu tego wyrazu poetą. W pewnych chwilach usposobienia pisał z nadzwy-

---

[1] Tak nazywa Brodziński tych, którzy otrzymali później nazwę pseudoklasyków (Osiński, Koźmian i inni).

[2] t. j. anakreontystą, piszącym wesołe wierszyki, jak poeta grecki Anakreon.

[3] np. głośna wówczas *Oda do brzucha*.

[4] t. j. Tymowski.

http://rcin.org.pl

czajną łatwością. Anakreontyki jego, jeżeli wszystkie będą kiedyś zebrane, stanowić będą odrębny, T... tylko właściwy rodzaj. Jest w nich wiele wynalazku i zwięzłości. Później, prawda, zbyt zawierzył swojej łatwości w wyszukiwaniu coraz nowych obrazów do myśli zawsze jednakich i zbyt starał się łacińskie przekładnie polskiej liryce przyswoić. Z niewypowiedzianą łatwością w niedługim przeciągu czasu napisał poema satyryczne na wzór *Duncjady*,[1] mające za cel młodych a pełnych uprzedzenia wierszopisów. Bohaterem tego poematu jest G. M. W...,[2] który naśladując P... Jais[3] w *Pustelniku z krakowskiego przedmieścia*, miał nieszczęście, iż żadnego zamiłowania u czytelników zjednać sobie nie umiał.

Hojność i życie według Horacjusza były cechą T..., znał on świat, jak mówią, wielki, lecz obok tego tak prostą miał duszę, iż najlichszy trefniś mógł z niego najwyraźniej żartować, i był istotnie często celem zabawy tych, którzy o jego przymiotach najmniejszego nie mieli wyobrażenia. Żywy, miły i dowcipny między ludźmi, którzy skłonnościom jego odpowiadali, stał jak sądzony w gronie tych, dla których zewnętrzny polor był wszystkiem. W sporach nie umiał placu ustąpić i aż do zaciętości bronił zdania swego. Gdy raz w mojem mieszkaniu czytaliśmy spólnie życie Woltera przez Condorseta,[4] przyszło do takiej sprzeczki, iż wyszedł

---

[1] poemat satyryczny poety angielskiego Aleksandra Pope'a (1688—1744).

[2] Gerard Maurycy Witowski (1787—1837) zamieszczał w *Gazecie Warszawskiej* artykuły satyryczne z podpisem: Pustelnik z krakowskiego Przedmieścia (w 1818 r. wydał je osobno pod tytułem: *Pustelnik z krakowskiego Przedmieścia czyli Charaktery ludzi i obyczajów*).

[3] Jais umieszczał w czasopismach paryskich artykuły, będące wzorem dla naszego Witowskiego, podpisywane: »L'Ermite de Chaussée d'Antin«.

[4] Jean Condorcet (1743—1794), filozof, uczeń Woltera i autor jego życiorysu, ale przedewszystkiem twórca sławnego dzieła *O rozwoju (postępie) rozumu ludzkiego*.

http://rcin.org.pl

z pokoju z oświadczeniem, iż nigdy u mnie nie postanie. Szczęściem, iż w zapale wyszedł bez kapelusza i na ulicy dopiero się spostrzegł. To zdarzenie zmieniło jego humor, wrócił, uściskaliśmy się serdecznie i więcej o Wolterze nie było mowy. Tymowski uwielbiał St. Potockiego,[1] szczególniej w czasach, gdy tenże przez podstępy niewdzięcznych łaskę monarchy i ministerstwo oświecenia postradał. Mimo, iż był w Radzie Stanu wicereferendarzem, pisał śmiałe poezje z tej okoliczności i objawiał zdania wbrew duchowi, jaki wprowadzać zaczęto. Nawet gdy mu powierzono cenzorstwo pism perjodycznych, umieszczał poezje własne, którychby żaden cenzor w owym czasie nie śmiał przepuścić. Nie było to z jego strony zuchwałością, lecz dusza jego cnotliwa nie była w stanie dostrzegać tak nagłej zmiany systematu rządu. W skutku układów familijnych ożenił się T.... przeciw własnej i swej żony skłonnościom. Był to cios dla jego talentu, a więcej jeszcze dla szczęścia domowego, do którego tyle był zdolnym, gdyby był znalazł serce swojemu odpowiadające. Przymuszony żyć z wystawnością, spraszając w dom swój najdostojniejsze w stolicy osoby, wśród świetnych zabaw zatrute mając serce niesnaskami domowemi i wydatkami, które możność jego przechodziły, stał się pastwą szydzących gości i natręctwa dłużników.[2] Od ożenienia jego zerwały się nasze przyjacielskie stosunki. Mimo że T.... był zawsze dla mnie jednaki, wszelako nie śmiałem mu towarzyszyć przy wielkim świecie, jaki go zaczął otaczać. Niedługo zmuszony był oddalić się na wieś, przystąpić do rozwodu, który właśnie pozyskał. W dzisiejszych okolicznościach stracony on jest dla kraju,[3]

---

[1] Stanisław Potocki (1752—1821), wybitny pisarz i mowca, minister oświaty do roku 1820.

[2] t. j. wierzycieli; słowa »dłużnik« używano dawniej i w tem znaczeniu.

[3] Po roku 1831 Tymowski musiał udać się na emigrację.

lecz zdolny używać szczęścia domowego w wiejskiej zaciszy, którego z serca mu życzę.

JULJUSZ KOLBERG[1]

Nie znałem w życiu mojem człowieka z cichszym umysłem, pełniejszym gołębiej prostoty, jak był Juljusz Kolberg. Chrystus poglądając z nieba na dusze tyle do niego się zbliżające, czuje zapewne boską, nam niepojętą rozkosz. Kolberg przybył do Polski w czasie zajęcia Warszawy przez Prusaków, jako geometra, a po utworzeniu Księstwa Warszawskiego wszedł w polską służbę publiczną jako człowiek zdatny i prawy. Powołany do wykładania w uniwersytecie topografji i niwelacji, żył ze mną w ścisłej przyjaźni do śmierci.

Kolberg pisał wiele poezyj w języku niemieckim, największą część z perjodycznych zdarzeń, na uroczystości kościelne, rodzinne i wolnomularskie. Wszystkie tchnęły ową anielską czystością uczuć, ową tęsknotą do wyższego świata, a pisane jak zwykle do okoliczności wielki czyniły skutek. Po słuchaniu jego poezyj śpiewanych, każdy czuł się przeniesiony w pogodne krainy; każdy czuł się w błogości i w uroczystem uniesieniu moralnem. Oczy jego, łagodnym blaskiem przenikające, zwiastowały w nim poezją, której żaden język, instrument, dłuto i pędzel wyrazić nie zdoła. Kiedym się w oczy jego wpatrywał, gdy czytał lub mówił z zapałem, utwierdzałem się zawsze w prze-

---

[1] Juljusz (w kopji Dmochowskiego przez pomyłkę — Juljan) Kolberg (1776—1831), serdeczny przyjaciel Brodzińskiego, prof. Uniwersytetu warszawskiego i członek Towarzystwa Przyjaciół nauk, autor m. in. *Atlasu Królestwa Polskiego*, ojciec zasłużonego zbieracza poezji ludowej, Oskara Kolberga. Brodziński już w II tomiku swych *Pism* z 1821 r. zamieścił swoje tłumaczenie wiersza Kolberga p. t. *Genjusz przyjaźni*.

http://rcin.org.pl

świadczeniu, że jest nieśmiertelna dusza w człowieku, że tu na ziemi w miljonnej części nie jest w stanie objawić tego, co w niej tkwi, i wkrótce pójdzie opatrzyć się w lepsze narzędzie nad nasze pięć zmysłów. W obejściu swojem miał cierpliwość, wytrwałość i łagodność obok najpowszechniejszego u Niemców uczucia sprawiedliwości (Gefühl des Rechts); żadna obmowa, obraza i namiętność nie przylgła na chwilę do tej czystej duszy.

Miłośnik poetów, szczególniej Jean Paula[1] i Herdera, mało mógł się im oddawać, będąc zajęty pracą nad mozolnemi mapami i rachunkami. Otoczony sześciorgiem dzieci, w szczupłem pomieszkaniu między mnóstwem kart i instrumentów mierniczych, pracował cierpliwie z najsłodszą rezygnacją oderwany od poetycznej swobody i widoków natury, którą tak lubił. Wydawał mapy Królestwa Polskiego, mozolne a bardzo potrzebne dzieło: *Porównanie miar i wag*, ogłaszał nowe wynalazki w miernictwie. Wszystko to jak mało dochodu, tak wiele kosztowało go pracy i zdrowia, lecz jako profesor miernictwa uważał za świętą powinność tem się zajmować. Tłumaczył niektóre poezje Karpińskiego i moje, umieszczając je w dziennikach niemieckich zagranicą.

KSIĄDZ FRANCISZEK [KSAWERY] SZANIAWSKI, PROFESOR UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO[2]

Był to mały, szczupły staruszek, znany w Warszawie ludziom każdego stanu i wieku, skrzętny jak pszczółka, z równem zajęciem spieszył na prelekcję

---

[1] Pod tym pseudonimem pisał poeta niemiecki Johann Paul Friedrich Richter (1763—1825).

[2] Ur. 1768, um. 1830; kanonik katedralny w Warszawie, członek Towarzystwa Przyjaciół nauk.

http://rcin.org.pl

kodeksu, tam na śmierć dysponować, tu dzieciom zanieść cukierków, na radę familijną, na sesją uczonych, tam ochrzcić dziecię ministra, tu dawać ślub wyrobnikowi, tam artykuł do gazet. Znał stosunki familijne połowy miasta, a jako duchowny i prawnik wszędzie był pożądanym doradcą. Towarzyski, rad był z wszystkimi dzielić tak zabawy, jak i frasunki. Wszędzie apostołował świętość małżeństwa, najwięcej się przywiązywał do domów, gdzie wiele dzieci. Po kursie lub kazaniu nie minął domu, gdzie mógł, jak mówił, choć na chwilę rozerwać się z dziećmi. Kochajmy się, pracujmy i bądźmy weseli, nie przestawał wykrzykiwać tak z ambony, jak przy stole przyjaciół, i ludzie żartobliwi nazywali go wyrazem: kochajmy się. We wszystkiem, co czynił, znalazł źródło zabawy: zdaje się, że niezliczone swoje zatrudnienia, różnej wagi, uważał, jak dziecię, za zabawę i ciekawe zajęcie umysłu. Gdy skończył kazanie na otwarcie sejmu, czekała go już bryczulka, na której spieszył z innem kazaniem na odpust wiejski, o parę mil zaproszony od ubogiego plebana. Podczas jubileuszu w Warszawie miewał kazania we wszystkich kościołach. Raz koło czwartej popołudniu powitał mnie, mówiąc: Zobaczymy się niedługo, bo już dziś jedno mam tylko kazanie. We wszystkich czynnościach swoich tak był punktualny, że gdy w sześćdziesiątym przeszło wieku podróż do Rzymu przedsięwziął, prosto z lekcji w Uniwersytecie siadł do pojazdu i w sam dzień otwarcia kursów powrócił. Kupił był bardzo skromny domek z ogródkiem na przedmieściu Warszawy. Tam wstając najraniej gotował się do dziennych obowiązków. Na wieczór spraszał przyjaciół prawie codziennie, dobierając stosownie ludzi różnych humorów i stanów, a najwięcej dzieci. Po śmierci zmarłego w więzieniu, jako więźnia stanu, ks. Dembka, jako egzekutor jego testamentu miał u siebie złożone po nim kilkanaście tysięcy. Te niewiadomym sposobem zginęły. Mimo

http://rcin.org.pl

mocnych poszlaków, nie śmiał służącego badać ani oddalić i dwom tylko przyjaciołom ten wypadek objawiwszy, przedał ulubiony ogródek na pokrycie tej straty, resztę, najskromniej żyć począwszy, z pensji oszczędził. Miał także wioskę w dzierżawie o kilka mil od Warszawy, jedynie dla zabawy przyjaciół i dobrych uczynków. Piękny ogród, ryby w stawie, owoce w ogrodzie zwabiały tam na zabawy familje z dziećmi. Założył zaraz szkółkę dzieci wiejskich, w której i sam, ile razy przybył, nauczał.

http://rcin.org.pl

DZIENNIK WOJSKOWY

Z 1813 R.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

URYWKI Z DZIENNIKA WOJSKOWEGO KAZIMIERZA BRODZIŃSKIEGO, W R. 1813 PRZEZ NIEGO SAMEGO PISANEGO[1]

Dnia 29 kwietnia, obóz pod Krakowem.

Ruszyliśmy z Krakowa do obozu pod Promnik ;[2] radość na wszystkich twarzach jaśniała, bo szliśmy w nadziei walczenia. Ku wieczorowi, gdy ogniska żarzyć się poczęły, wyszli niemal wszyscy mieszkańcy z Krakowa. Pożegnania, noszenie nam posiłków do obozu, — czyniły nam przechadzki z nimi prawdziwie rozrzewniające ; deszcz przez całą noc moczył nas do nitki.

Skotniki, 30 kwietnia.

Na godzinę 11 dostaliśmy rozkaz wymarszu,[3] nikt nie był pewny, gdzie ? Wojsko austrjackie nadchodziło, zajmując stanowisko obozu naszego. Ruszyliśmy przez miasto[4] na Podgórze, przechodu tego nikt nie był nierozrzewnionym świadkiem. Przyjaciele i krewni wychodzili przed domy ze łzami w oczach, podawali dłonie wychodzącym. Po tylu

---

[1] Tak brzmi tytuł w druku z 1844 r. oraz w kopji Dmochowskiego. Po szczęśliwym powrocie z wyprawy na Moskwę 1812 r. przybył Brodziński do Krakowa. Tutaj to zebrało się z początkiem 1813 r. przeszło 20 tysięcy wojska polskiego pod wodzą ks. Józefa i oczekiwało rozkazu Napoleona ruszenia na zachód. Brodziński, nie mając innego sposobu do życia, przyłączył się do nich i został oficerem artylerji w drugiej brygadzie, której komendantem był jenerał Kamieniecki.

[2] t. j. Prądnik, wówczas wieś na północ od Krakowa, dziś jego przedmieście.

[3] z Prądnika.

[4] przez Kraków, na południe.

http://rcin.org.pl

trudach i wytrwaniu, któżby nie był smutny, opuszczać ostatni szczątek ziemi i iść pomiędzy obcych! Scena prawdziwie wielka i rzadka! Z Podgórza podzieliliśmy się na różne drogi. Brygada druga, w której jestem artylerzystą, udała się do Skotnik.[1] Rozdzieliłem się, prócz zostałych w Krakowie przyjaciół, z kilkoma dobrymi kolegami. Z pułkownikiem W. stanęliśmy w małej izdebce wieśniaka. Zeszliśmy się wieczorem, z całej brygady oficerowie, na środek wsi i późno w noc zabawialiśmy się nad różnemi uwagami o przyszłym losie naszym. Jenerał G. bardzo mi się podobał: nagradza on słabe siły fizyczne rozsądkiem i wiadomościami, powagę swoją grzecznością oswaja, a wiek podeszły wesołością w posiedzeniu odżywia.

Skotniki, 1 maja.

Dzień najpiękniejszy! Przechadzka dzisiejsza pamiętną mi będzie. Natura wdziała dzisiaj najuroczystszą szatę, a my w tak żałobnej chodzimy! Wszystko rozkwita: widzę przed sobą już nie nasz Kraków,[2] za sobą już wsi zagraniczne!...[3]

Okolice Skotnik są w pięknem położeniu, leży wieś na płaskiej górze, którą dolina wkoło jak wodą opasała. Kraków rozciąga się przed oczyma, gęsta mgła tylko, jakby całun żałobny, unosi się nad nim, wokoło widać góry. Bielany ze św. Bronisławą[4] walczą tak, jak ponurość z przyjemnością; na lewo od Bielan ciągnie się płaszczyzna, przez którą Wisła, kryjąc się między małe wzgórza i krzemieniste skały, jakby błąkająca się, kręto pod Wawel ucieka. Okazała góra Landskorony czerni się zdala przy wzniosłych Karpatach. Dano znać, że most na Podgórzu przygotowano do spalenia. Korpus austrjacki przechodzi Wisłę.

---

[1] wieś pod Krakowem.

[2] Wojska austrjackie miały zająć Kraków zaraz po wymarszu wojsk ks. Józefa.

[3] należące do Śląska.

[4] ze wzgórzem św. Bronisławy, na którem wówczas nie było jeszcze mogiły Kościuszki.

http://rcin.org.pl

Skotniki, 2 maja.

Było dziś kilku przyjaciół z Krakowa odwiedzić nas, przy żegnaniu się powiedzieliśmy sobie: kilka iskier na most, a kto wie, kiedy się obaczymy! Wieczorku majowy nad Wisłą! winienem ci kilka słodkich godzin. Tyniec, zawieszony na skale nad Wisłą, mieści teraz nieszczęśliwych rannych; pamiętne tu złe i dobre czasy, ale nigdy tak smutne. Nocne straże roznieciły ogniska. Dymy słupami się wznoszące brudzą lazurowe sklepienia. Grób Krakusa unosi się na górach Lasockich między ogniskami; twój aby grób, potomku Lecha, otaczają jeszcze synowie jego.

Skotniki, 3 maja.

Miło z brzegu w ocean patrzeć rozhukany,
Jak okrętem miotają gniewliwe bałwany,
Nie, by nam lube były smutne innych losy,
Lecz miło widzieć obce, nieznane nam ciosy.

O! jak te słowa lubię często powtarzać z tobą, o Lukrecy![1] Ciebie pokój i szczęście, mnie wojna i smutek nauczyły tej prawdy, nie z jednego ona źródła, lecz do jednego idzie morza.

Odczytuję po kilkakroć odezwę konfederacji generalnej Królestwa Polskiego,[2] już ostatnią! Jak świetnie zaczęliśmy powsławać, jak wysoko wzniesiona runęła budowa! Chciano w niej wiele powiedzieć, ale odwołano się do potomności — i najsprawiedliwiej, ona nas niech osądzi.

Melancholja wodziła mię dzisiaj późno w wieczór po polu! Może trzeba będzie być rozbrojonym i znosić pośmiewiska za tak śmiałe nasze zamiary,[3] może iść nad Odrę

---

[1] Titus Lucretius Carus, poeta rzymski i filozof z I wieku przed Chr., autor dzieła *De rerum natura* w 6 pieśniach. Wyjątek powyższy — to początek pieśni II-ej.

[2] Konfederacja ta zawiązana w 1812, rozwiązana w 1813 r. z chwilą zajęcia ziem polskich przez zwycięskie wojska rosyjskie.

[3] połączenia się z Napoleonem.

http://rcin.org.pl

i Elbę i tak głęboko zapadłego gmachu znowu dobywać. Może nareszcie trzeba będzie być włóczęgą nad Sekwaną i Tybrem i jako najemnik nieść śmierć i pożogi mieszkańcom Tagu, niedającym upaść ojczyźnie, dopóki jeszcze żyje,[1] może na wieki trzeba będzie opuścić nieszczęśliwą tę naszą ziemię, w której wszystko straciłem i dla której[2] brat i tylu przyjaciół leżą pod śniegami Moskwy, nadaremnie utraceni dla mnie.

Skotniki, 4 maja.

Wojska austrjackie zajęły brzeg prawy Wisły, promyk dla nas nadziei, przechodzą i Wisłę, zajmują Kraków, odbierają wszystkie poczty, już nikogo z naszych na tamtej stronie i my, pomimo lubych nadziei, dalej jeszcze odsunąć się musiemy. Oficerom naszym zakazano bywać w Krakowie. Nieporozumienia nasze z Austrjakami i zatargi różne są bardzo powszechne.

Całe pół dnia przebyłem u pana W... Jest to człowiek, którego ja nazywam ukochanym od szczęścia, sam on (powiada) nie pamięta, aby mu się źle powodziło kiedy. Odbyłem razem z nim okropną rosyjską wyprawę i byłem świadkiem dziwiącym się, jak szczęście zawsze nieprzewidziane jedno po drugiem nim się opiekowało. Charakter jego pełen zalet, trudnym jest do naśladowania. Mąż to prawdziwie dojrzały, dowcip i rozsądek, odwaga i przezorność najpiękniejszą równowagę trzymają u niego. Stałość w przedsięwzięciu i oziębłość po stracie, staranność około siebie i z dobrym sposobem myślenia w parze idąca — czyni go może od szczęścia kochanym, a co tak rzadko razem zdarza się, i od ludzi. Szacunku, jakim dla tego czło-

---

[1] Aluzja do wojny Napoleona z Hiszpanją, tak przykrej dla Polaków.

[2] Tak w tekście z 1844, u Dmochowskiego przez pomyłkę: dla których.

http://rcin.org.pl

wieka przejęty jestem, nie będę mu w stanie wyrazić nigdy tak, jak jest w istocie [1]...

Skotniki, 5 maja.

Odwiedziła nas w naszej stodółce pani D. z córką, na pożegnanie nie obeszło się bez łez. Odprowadziliśmy ją wieczorem na Podgórze, tam z moimi kolegami, z którymi rozłączony jestem, zabawiłem się dosyć długo, zwolna stąpał człapak podemną, w różnych tęskliwych myślach zatopionym.

Skotniki, 6 maja.

Jutro wychodzi pierwsza kolumna za granicę, oto krótki wypis z rozkazu dziennego Xięcia: [2]

»Nadeszła pora wojsku polskiemu stać się użytecznym krajowi; nadany działaniu Wielkiego Wojska kierunek w inną stronę[3] zwraca pierwsze kroki wojenne. Spieszmy więc złączyć się z braćmi naszymi, którzy już przy niem się znajdują. Przechodzić będziemy przez kraje sprzymierzonego mocarstwa,[4] dajmy w nich przykład spokojności i wytrwania, nie słuchajmy żadnych namów, niechaj zdarzenia nie będą nam powodem wyjścia z granic obyczajności... Unikajmy osobliwie o polityce roz-

---

[1] W wydaniu Chodźki z 1844 — zamiast całego ostatniego ustępu — czytamy: »Płk. M. jest mąż prawdziwie dojrzały, z wielkim rozsądkiem, tkliwy w uczuciach i stały w przedsięwzięciu, ile rozsądku, tyle charakteru dobrego posiadający; z nim w tkliwych rozmowach przepędziłem kilka godzin drogich, bo jeszcze między swoimi. Szacunku, jaki mam dla tego człowieka, wyrazić nie jestem w stanie«.

[2] Ks. Józef otrzymał wreszcie od Napoleona dyspozycje, które położyły koniec dotychczasowej niepewności i oczekiwaniu, ale także i nadziei, że nowe zwycięstwa pozwolą Napoleonowi połączyć się z nimi na ziemi polskiej. W chwili, gdy muszą ruszać do niego na daleki zachód, ks. Józef próbuje dodać swym wojskom otuchy.

[3] na zachód, do Saksonji.

[4] Austrji.

http://rcin.org.pl

mowy, która częstokroć przyjazną radą rozjątrza umysły. Niechaj mniej ozdobna postawa, w której momentalnie postawiamy się dla niedostatku skarbu, nie wstydzi nas ani upokarza. Sumienie nasze zostawia nam przekonanie, żeśmy dopełnili naszej powinności i zasłużyli na sławę. Możemy więc śmiało z niezrumienionem pokazać się czołem, a jeżeli przeciwnych na czas doznaliśmy losu kolei, nie zapominajmy, że zbliżamy się do tego, który już raz wydarłszy Ojczyznę naszą z rąk tychże samych nieprzyjaciół, teraz nam ją przez nowe zwycięstwa wrócić potrafi. Pomnijmy, że będąc teraz reprezentantami całego narodu, winniśmy w oczach obcych ludów stać się wzorem dobrych jego przymiotów«.

Mowa ta, jak pogoda po burzy, uciszyła nieco nasze skołatane serca, nabraliśmy ufności w sprzymierzeńcach, przywiedliśmy na pamięć już tak daleko wzniesione nasze dzieło, jak było przed 8 miesiącami — miałożby to wszystko nagle stać się bezowocnem... ; czując, że nam jedynie powierzono życie ojczyzny, uniesieni tak świętem powołaniem, zaczęliśmy w weselu ducha gotować się i co moment oczekujemy pochodu. Co za słodkie wspomnienie, jeżeli zwycięstwa otworzą nam drogę drugą stroną do kraju i uiszczą nasze i jego nadzieje. Świętość sprawy naszej powinni szanować i obcy ; jeżeli wywróżą niektórzy, że nas tam czekają prześladowania lub nawet smutny koniec, służyliśmy ojczyźnie pracą, majątkiem i życiem, zacóż nie znieść dla niej niewinnego prześladowania, zacóż już nie kończyć, gdy po tem wszystkiem już nie możemy się spodziewać smutniejszego końca nad obalone nasze nadzieje, — mało już stawić, ale wiele jeszcze zyskać możemy; myśl ta wszelką smutną przyszłość zasłania przed nami, miło dla jakiegokolwiek jeszcze ratunku na wszystko się odważyć...

Odebrałem kilka listów z Krakowa z pożegnaniem. K..., kiedy ja Ci się wypłacę, kiedy będę godny Twojej przyjaźni takiej? Może już nigdy nie będziesz przyciśnięty do serca mego, które gdzie pewnie daleko od Ciebie pogrzebane będzie z wszystkiemi długami winnemi Tobie!

http://rcin.org.pl

W Siennicy, 7 maja.

Rozkaz, aby w godzinę gotowym być do ruszenia. Smutek mię ogarnął. Ukradłem chwilkę czasu wybiegnąć na ustronie i kilka łez uroniłem, których się nie wstydziłem przed Niebem. O, ja dosyć jestem nieszczęśliwy! Wy, Nieba, znacie serca mojego dzieje, a na tej ziemi skrytemu nawet piórowi (!) mojemu nie chcę ich powierzyć. Rok ten zabrał mi największą połowę moich drogości na ziemi do swojej okropnej przepaści zatraty, mnie od reszty także może na zawsze oddala. Człowiek się posuwa do grobu, utracając wszystko po drodze, i tylko jedna pociecha nad grobem, że na świat mało by się co wrócił...

Przyszliśmy do obozu, stanęły działa na pięknej łące, nas się kilku zebrało do bliskiego młyna, gdzieśmy w stodółce noc przepędzili. Byliśmy wszyscy bardzo smutni. Jeszcze niektórzy z Krakowa byli w obozie dla żegnania nas, my z M. zostaliśmy w stodole zamknięci, różne sobie o przyszłości czyniąc wyobrażenia. Noc ta była dla nas obudwóch niespokojną. Piękna bardzo i widna noc — przechodziliśmy się po sadzie, gdzie różne pieśni żołnierzy w obozie śpiewających przy ogniskach słychać było. Szczyty Krakowa jeszcze można było dojrzeć, a mnie owe Szyllera wiersze zawsze były na myśli:

Gród Pryama padł na wieki,
Mury Troi w pyle leżą,
Szczęściem pijane są Greki
I obciążone grabieżą...
. . . . . .
My może pod obce pany
Daleko idziem od Ciebie,
Bądź zdrów, kraju ukochany...
Szczęśliwsi, których śmierć grzebie...[1]

[1] Jest to tłumaczenie wiersza Schillera p. t. *Siegesfest*. Wiersze 1—4 odpowiadają początkowi strofy pierwszej oryginału, wiersze 5—8 zakończeniu strofy drugiej. Dmochowski w przypisku, którego tu nie zamieszczam, oraz Gubrynowicz w monografji o Brodzińskim (str. 148) mylnie twierdzą, że wiersze 5—8 są oryginalnym utworem Brodzińskiego.

http://rcin.org.pl

Tak wołały już na nawach Achajskich będące Trojanki, patrząc na dogorywające swe miasto; smutniejszy nasz los opuszczać tę starożytną stolicę monarchów naszych, nie walczywszy, być od niej odprowadzonym kto wie gdzie, i być łudzonym nadziejami tak dalekiemi...

Od Nieba szczęście i niedola! jemu się więc oddałem, prosiłem o opiekę, przywiodłem na myśl moje nieszczęścia, a że na nic nie szemrałem, byłem w nadziei jakiejkolwiek kiedyś za nie nagrody. Nieszczęść do dziś dnia w przeciągu roku dosyć zniosłem. Oto w nim dla mnie smutne zdarzone straty: K...[1] młodzieniec pełen, jak maj, nadziei, którego ja sam wywiodłem na pole boju, zginął mi przy Możajsku; kto go tylko znał, kochał tak jak ja, a wszyscy czynili mi o niego wyrzuty. O! smutne zakończenie przyjaźni! Cieniu drogi! gdybym wiedział, że Ci nagrodzę życie i stratę Twą przyjaciołom, gotówbym znieść większe jeszcze cierpienia nad pamięć o stracie Twojej. — R[eklewski], dla którego zaciągnąłem się do jednej brygady, pod którego rozkazami, przyjaźnią i dobrodziejstwy żyłem, wielka nadzieja rycerstwu, naukom i Muzom, znikł i wszystko z nim znikło! Po chwalebnej u Smoleńska czynności zachorował: woziliśmy go w tak przykrych marszach ze Smoleńska aż milę do Rożestwa koło Kaługi, stamtąd w ostatnich słabościach pożegnałem go jadącego do szpitala do Moskwy, gdzie ledwo dojechawszy opuścił nas wszystkich! Strata jego, prócz wiecznego żalu, miała wpływ na dalszy los mój szczęśliwszy.[2] Dowódca mój,[3] Pollux[4] poprzedzającego, który losem moim starał się kierować, pożegnał nas na polu bitwy z urwaną nogą po biodro. Mój S.,[5] mój P. w niewoli!

---

[1] Prawdopodobnie Karol Parczewski, znany nam już ze *Wspomnień*.

[2] W druku z 1814 r.: nieszczęśliwy.

[3] Pułkownik Daret, serdeczny przyjaciel Reklewskiego, ugodzony pod Możajskiem kulą armatnią w nogę, po amputacji życie zakończył (Gubrynowicz *K. Brodziński*, 1917, str. 131—2).

[4] przyjaciel serdeczny; określenie od półbogów greckich, Kastora i Polluksa.

[5] Zdaje się Andrzej Świdziński, porucznik I bataljonu posiłkowego artyl., wzięty do niewoli pod Krasnem (Gubrynowicz, j. w. str. 135).

http://rcin.org.pl

Tylu zabitych i wziętych innych! Brat mój nakoniec Jędrzej, który mi zazdrościł, że nie dzielił walk przy Smoleńsku, Możajsku i t. d., bo został adjutantem placu w Szkłowie, gdyśmy się cofali, złączył się z pułkiem, szedł z nami dni trzy, wśród bitwy nad Berezyną dano mi znać, że jest ranny; szukam go między trupami, znajduję go już obnażonego i w samo czoło karabinową ugodzonego kulą. Straciłem w nim, co miałem najdroższego na ziemi! Tylko już to mnie pozostało, że mogę sobie powiedzieć, iż nic już nie mam do stracenia. Krewny mój R.,[1] którego także do wojska zaciągnąłem, pozostał mi chory przed Berezyną, i ja, który byłem przyczyną jego straty, musiałem sam tę smutną wieść rodzicom oznajmić. Boże! czyliż czekają mię jeszcze podobne chwile! Wierny ordynans, który mię we wszystkich nieszczęściach wojny pocieszał, z końmi i rzeczami pojmany i zabity. Słabością, nędzą i smutkiem obciążony, szedłem sam jeden (kompanja moja już zupełnie była rozbita) przez Kowno za Niemen, bo idąc nocą, minąłem przy Wilnie nasz już nieznaczny korpus, który potem udał się w lewo; dwie już mile uszedłszy, dopiero dowiedziałem się o tem, kiedy do tej drogi już wrócić nie można było. Za Niemnem dopiero spotkałem podoficera znajomego, który mnie nakarmił i pieniądzmi nieco zasilił, wziął na sanki, jakie z parą koni zdobył. Pocieszony nieco spieszyłem ku Warszawie. Ścigani od Kozaków ku Marjampolu, musieliśmy się udać przez Prusy, gdzie na pierwszym noclegu okradziono nas ze wszystkiego, z koni nawet i sanek. Pieszo zatem znowu i żywieni litością, szliśmy dalej. Poczciwy obywatel w Prusach zapomógł mię tyle, że przecie mogłem się dostać do Warszawy. Nieszczęsne wojny! Kiedyż mu będę w stanie za to się odwdzięczyć! Wytchnąwszy i przyodziawszy się nieco w Warszawie, musieliśmy wkrótce z niej ustąpić. Dobry M. przywiózł mię na swej bryczce

---

[1] Może Erazm Ratajewicz, drugi porucznik artylerji; dostał się do niewoli nad Berezyną (Gubrynowicz, *op. cit.* str. 135).

http://rcin.org.pl

do Krakowa. Tam przysłał mi opiekun[1] uwiadomienie, iż nic się z Galicji majątku spodziewać nie mam. Nie strata szczupłego majątku, ale stan potrzeb moich prawdziwie mię zasmucił. Stryj mój przysłał mi cesję na sumkę leżącą w depozycie krakowskim, ale dniem później, gdy depozyt został wywieziony. Iść bez oporządzenia i konia w marsz, opuścić kraj w takim stanie, cel wędrówki tak ciemny,[2] — tyle wszystkiego niepodobna, aby nie zasmuciło. Otóż taka to od początku roku była moja przeszłość.[3]

W Kalwarji, 8 maja.

Przed samą granicą odbyła kolumna rewję, po której defilowały pułki przez rogatki. Austrjacy po obu bokach gościńca porozstawiali plutony jazdy i piechoty z muzyką. Generał komenderujący wystąpił z oficerami przeciw nam, muzyka ta i parada dodawały nam rozrzewnienia.[4]

Próżno za lubą ziemią stokroć się obzierać,
Przedłużać pożegnanie i żale wywierać,
Trzeba iść i opuścić ukochaną ziemię,
Unieść ostatki nadziei i nieszczęścia brzemię.

Minęliśmy Mogilany, miasteczko leżące u podnóża wysokich gór. Patrząc na rozległe przestrzenie w głąb Galicji, unosiło się serce moje bolesną tęsknotą i różnemi wspomnieniami; niedaleko bowiem, między górami, jest miejsce urodzenia mojego:

---

[1] t. j. stryj, ks. Piotr Brodziński z Wojnicza.

[2] Brodziński nie ma już wiary w zwycięstwo Napoleona.

[3] W druku Chodźki z 1844 r. następuje tu jeszcze jedno zdanie: »Przyszliśmy do obozu pod wioskę Siedziny, stanęły działa na pięknej łące przy młynie«.

[4] W druku z 1844 ustęp ten zaczyna się od słów, których znowu w kopji Dmochowskiego brak: »O 4-ej zrana ruszyliśmy w marsz ku Mogilanom (1½ mili), gdzie natenczas była komora graniczna Austrji; jeszcze widać szczyty Krakowa«.

http://rcin.org.pl

Wy dwa wyniosłe dęby, nad wsią panujące,[1]
Ty strumyku wędrowny po kwiecistej łące,
I wy ciche, jak dawniej, — szumiące dziś lasy,
Już was może po wieczne nie zobaczę czasy.
Już jako na wiatr z łuku wyrzucona strzała,
Znikła młodość, co ze mną w tych cieniach mieszkała;
Jako liście jesienne, tak moje nadzieje
Po polu rozrzucone, a drzewem wiatr chwieje.
Szczęśliwość osobliwszej ma przymioty matki,
Te, które jej nie znają, tylko darzy dziatki.
Szczęsny! gdybym był tylko usposobił siły
Orać te ziemie, które ojca mi karmiły.
W cichym sadzie i nad tym samotnym potokiem
Byłbym zakrył me szczęście przed zazdrosnem okiem.
Wiele gdzie kwiatów, różnie rachują niebiosy
I każdemu na wieczór dosyłają rosy,
Słońcu każą codziennie chodzić koło osi,
Co zna drogę do wszystkich, każdemu coś nosi, —
Zacoby przepomniała Opatrzność człowieka,
Który tam, gdzie go sama postawiła, czeka.
Żywego mię na górę wywiedli młodziana,
Rozległa ziemi przestrzeń była mi wskazana:
Już masz prawo! idź gonić za szczęściem po ziemi!
I poszedłem prawami opatrzony memi,
Szedłem, nadzieją zapełniwszy serce młode,
Jakiejś marze w ofiarę prowadząc swobodę.
I zarznąłem ją! — Nieba! jakież mi pożytki?
Nauk chciałem najpierwej odwiedzić przybytki,
Gdzieżeście mię zawiedli, o wy mędrce sprzeczne?
Kłótni waszych słuchając szedłem w cienie wieczne
I stąd tyle mi tylko poznać się dostało:
Ileby wiedzieć można, — a jak wiemy mało!
Religio! bym tylko znał nauki Twoje,
Nadzieję, miłość bliźnich i duszy pokoje,
I na progu w kościółku przed Pana obrazem
Śpiewał mu pieśń klęczący z wieśniakami razem.
Szczęśliwy, przed próg Pański kto znosi swe myśli,
Jak ojcu — stan swych potrzeb i stan serca kryśli,
Swoje rozkłada błędy, dobre czyni śluby
I zasług z nadziejami przegląda rachuby.
Nic u Pana nie ginie; Jemu swe zmartwienia
Oddawszy, śmiało każdy potrzeby namienia.

---

[1] Nie jest to opis miejsca urodzenia (Królówki), jak twierdzi Brodziński, lecz Lipnicy, jak zwrócił uwagę Gubrynowicz.

Pobożna dusza, dobrze w domu Pańskim znana,
Ufnie przyjdzie, — z nadzieją odejdzie od Pana.

Ojczyzno! Twe mię imię przejęło zapałem!
Kochałem Cię, niestety, i że Cię kochałem,
Wspomniano mi na Ciebie; ja przywdziałem zbroje,
Abym bliźnich mordował w święte imię Twoje.
O, jak miłość ku Tobie kosztownie się płaci,
Gdy trza bliźnich mordować dla miłości braci.
Uśpiłem wszystkie czucia Tobie na ofiary,
Patrzałem na krew w Dnieprze, na Moskwy pożary,
Byłem przy wsi zniszczeniach, widziałem łzy dziatek,
Pomsty starców krzywdzonych i przekleństwa matek;
Przyjaciół mi śmiertelna nie szła w serce rana,
Całe w niem miejsce wzięła Ojczyzna kochana.
Obym Ci tylko proste był zachował serce,
Praw ludzkich nie byłbym grzebał w poniewierce;
Byłbym Cię i tak kochał i Tobie usłużny
Dzielił Ci każdy snopek z mego pola dłużny...
Ach! wiele — prawda — czyni, kto Ci życie święci,
Lecz jak różne bywają pod twem hasłem chęci!
Niejednych mara wiedzie osobistej sławy;
Sława wieńczyła dotąd niejedne złe sprawy,
Najdroższe wieńce — w polu Bellony zbierane
Przeto może, najwięcej że są podejrzane!
O zaciszy! kiedyż ja wrócę do Ciebie
I wszystkie świata marne nadzieje pogrzebię.
Oby niebo z podróży przynieść z sobą dało
Doświadczenie i zdrowe sumienie i ciało.
Spokojności! szczęśliwy, kto skończył podróże
I strudzony — w Twym sadzie wypoczywać może.

Takie w tę smutną chwilę miotały moją duszą uczucia, których teraz trudno tak wyrazić, jak były w ten moment.

Stanęliśmy na nocleg w Kalwarji.[1] Klasztor w rozkosznem położeniu, ma być ze wszystkiem podobny do miejsca cierpienia Chrystusa. Ubóstwo wszędzie po drodze przykrzy się. Ku wieczorowi poszliśmy do klasztoru, księża przyjęli nas grzecznie, prosiliśmy o oprowadzenie nas po miejscach ciekawszych, w kościele nic godnego uwagi. Kaplica i małe po wzgórzach rozrzucone kościółki, domki

[1] Miasteczko niedaleko Krakowa. Nazwę jego wyjaśnia dalsze opowiadanie.

http://rcin.org.pl

Heroda, Kajfasza i t. p., zupełnie, mówią, stoją według wymiaru, jak na Ziemi świętej. W jednym z tych godne widzenia cztery obrazy Franciszka Lekszyckiego[1] (około r. 1640), w Rzymie wypracowane, rys żywy i śmiały, malowidło pomimo kurzu, jaki pospólstwo, czołgając się na kolanach, wznosi, nic z świeżości nie traci. O zamku Landskorony i Włodkowcy[2] nie mogliśmy się nic od księży wywiedzieć. Imię tylko fundatora[3] i dzień jego urodzenia dokładnie wiedzą. Pytaliśmy się o bibljotekę i że w tej muszą mieć jakie podania: »Musi tam być i o tem«, odpowiedzieli, »bo mamy różne książki *in folio* i *in octavo*«...

W pamięci zawsze jeden tutejszy pustelnik, 34-ty rok już nieoddalający się z tego miejsca. Jest to starzec na wiek swój najczerstwiejszy. Ile poznać mogłem, człowiek ten z swojego stanu jest najspokojniejszy. Lekturą jego całą jest przez wszystkie te lata Pismo św. i Dykcjonarz roślinny. Za górę Kalwarji nigdy jeszcze podczas przechadzki się nie oddalił. Botanika jest jego głównem zatrudnieniem, dalej pacierze i malowanie. W malowaniu nie wielkie postępki. Ile człowiek taki miałby czasu odkrywać użytecznych rzeczy...

W Choczynie,[4] *dnia 9 maja.*

Nocowaliśmy ćwierć milki za Wadowicami, w chałupce pod kościółkiem.[5] Cień lipowy, od cmentarza na chałupkę naszą się rozpościerający, przyjemny nam czynił

[1] Franciszek Lexycki, znany malarz z XVII w., bernardyn.

[2] Lanckorona, zamek i miasteczko obok Kalwarji, siedziba Zebrzydowskich. Autor myślał może o Włodkowej, sławnej w XV w., rozbójniczce z pobliskiego Berwałdu.

[3] W tekście z 1844 dodano tu w nawiasie: Zebrzydowski. — Był to sławny Mikołaj Z., wojewoda krakowski z początku XVII w.

[4] U Dmochowskiego, zda się przez pomyłkę, może samego Brodzińskiego: »W Hoczynie«, w tekście z 1844: »W Chocznі«. Nazwa dzisiejsza brzmi »Chocznia« (wieś w powiecie wadowickim).

[5] W tekście z 1844 r. zamiast dalszych zdań czytamy: »w cieniu rozległych drzewin smętarza, nad rozkosznym strumieniem. Z W... wyszliśmy wieczorem na przechadzkę po deszczyku majowym, na piękną łąkę«.

http://rcin.org.pl

spoczynek, po deszczyku zwłaszcza majowym najprzyjemniejsze z kwitnących drzew roznoszą się wonie. Ku wieczorowi poszedłem do księdza plebana, zastałem staruszka siedzącego na klocu w swoim podwórku. Różne były nasze rozmowy. Dobrego piwa kilka szklanek wypiwszy, pożegnałem go i szedłem na przechadzkę pomiędzy dwoma rzędami wierzb, ciągnących się aż do lasu świerkowego. Grunt trawnisty tego lasu bardzo pięknie odbija od zielonej ciemności świerków. Był mi mój X. pleban w myśli, a za tym przyszedł mi na pamięć Wirgilego Melibeusz:

My pola, my ojczyste rzucamy zagrody,
My wygnańce . . . . . .
. . . . . .
Ach! dawno nam te klęski dąb gromem rażony
I złowrogiej na jodle krzyk objawił wrony...
. . . . . .
Szczęśliwy starcze, twoją ty posiadasz niwę,
Ty masz dosyć, choć głazy na niej sterczą siwe.
. . . . . .
Twe stado zarażonej trzody nie spotyka,
Szczęśliwy! ty na brzegu znanego strumyka
Lub u źródła, gdzie z młodu słodkie piłeś wody,
Szukać będziesz wśród letnich upałów ochłody...
. . . . . .
A my pójdziem po Afrów tułać się krainie,
Do Scytów lub gdzie Oax rwie kretejskie skały,
Gdzie Brytanów od świata dzielą morskie wały.
Czy kiedy los dozwoli słodkiej nam pociechy
Ujrzeć domów ojczystych darniem kryte strzechy,
Widzieć po długich latach łanów naszych plony?
Srogi żołnierz te gnojne posiędzie zagony,
Pozbiera z naszej pracy żniwa już gotowe...
Gdzie nas przywiodły, bracia, niezgody domowe!...[1]

[1] Wiersze z Wergiljusza *Ecl.* I, w przekładzie polskim Józefa Lipińskiego (*Bukoliki*, Warszawa 1805). Meliboeus — to postać pasterza, prowadzącego rozmowę z Tityrusem w tej sielance.

http://rcin.org.pl

Ale wspomniawszy na uciemiężenia poddanych galicyjskich, jak mi ten Xiądz opowiadał, wspomniałem owego Merysa: z nim on prawie mówił:

O Licydo, jak bogów gnębią nas wyroki!
Kto mniemał, że przychodzień z obcej do nas ziemi
Rzecze: precz stąd krajowce, te pola są memi...
Dziś smętni, zwyciężeni, bo los wszystkiem włada,
W dar mu szlemy tę trzodę, niech mu się nie nada.[1]

Powracając napotkałem mojego W., że z parę godzin posiedziałem z niemi na łące, pieśni pięknym swoim głosem wyśpiewywał W. Co za szkoda, że Wa..., z którym zawsze na noc staję, zasłabł; nie jest to niebezpiecznie, ale ja dla towarzystwa nie będę mógł wychodzić z stancji.

W Kętach, 10 maja.

Ciepły był po deszczu poranek, gdy kolumna zgromadziła się do Kobierzyc i udała się ku Kętom. Gościniec prowadzi około pasma gór, wodząc i oko po najwspanialszych widokach. Stanęliśmy na nocleg w mieście. Górale i Ślązaki (sąsiednie te ludy, a ubiorem i obyczajami tak wiele się różniące) przyjmowali nas z ochotą. Wszystkie towary, ugody i kieliszki porzucono dla przypatrywania się rodakom. Całe popołudniu strawiłem najweselej. Stałem na końcu miasta pod samemi górami; siedzieliśmy przed domkiem, koło którego do swych gór z jarmarku wracali górale, każdy prawie podchmielony; najmilej nam było zaczepiać dobrych tych ludzi, by rozmawiać z nimi; ich śmiałość, otwartość wynurzania się z miłością ku ojczyźnie, jak były ujmujące, nie łatwo jest wyrazić. Nie mają oni tej dzikości, którą nawet koło wielkich miast nasi wieśniacy zatrzymują, zasiedli oni z nami i rozmawiali jak z swymi sąsiadami. Wysmukłość mężczyzn, a czerstwość kobiety

[1] Wergiljusza *Ecl.* IX 2—6. — Moeris rozmawia tu z Lycidasem.

http://rcin.org.pl

znamionuje. Mojego W. zobaczyłem zamięszanego w gronie tych górali i góralek, krzyknął tylko zdala na mnie, że: »jestem najszczęśliwszy!« i daleko ich odprowadził.

Góry nagle od równiny Kęt rozległym sznurem się wznoszą, zdaje się, że sama natura granicę zrobiła tym ludziom, aby przed zazdrosnem okiem ukryć ich szczęśliwość. Wieczór nadchodzi, a w krzewistych górach poznać można odległe i porozrzucane chaty z dymów, zaczynających się wznosić. Wpadłem w romansowe marzenia:

O wy, szczęśliwi wieśniacy!
Gdybym ja miał chatkę z wami,
Obudzaliby mię ptacy
Chodzić co rano do pracy
Z wypoczętymi wołkami.

Z wamibym ja się o role
Albo o trzody naradzał;
Nie pytałbym, o co króle
Wiodą na śmierć ludzi w pole,
Jak się kto wyniósł, jak zdradzał...

Obwiany chłodnym wietrzykiem
Szedłbym często na szczyt skały
Z wierzbowym moim flecikiem,
I przeciwiąc się z słowikiem
Nuciłbym Panu pochwały.

W młodościbym użył świata,
Potembym szczęśliwy z żoną
Wzmagał rodzinę i brata,
Bym miał gdzie w późniejsze lata
Schronić głowę uśnieżoną.

Aże, gdy mię śmierć powali,
Przeciebyście mi pospołu
Dobre wasze słowo dali,

W dzwony uderzyć kazali,
Odprowadzili do dołu.[1]

Wieczorem poszedłem do miasta, zabawiliśmy się z kilkoma obywatelami, którzy umyślnie do miasta dla nas się pozjeżdżali. Przy winie i różnych patrjotycznych wynurzeniach zeszło nam do godziny 12-ej w nocy.

Na dzisiejszym marszu szliśmy razem z W. piechotą, naprzód, daleko od kolumny. Dopiero się słońce z za góry wznosiło, gdyśmy przechodzili przez wioskę, cicho jeszcze było i wszystkie chatki za zaporami, Xiądz tylko przy cmentarzu na kamieniu siedział z brewjarzem. Zbliżyliśmy się do niego, cieszył się niezmiernie, mówiąc, że pierwszy raz widzi wojsko polskie (on pierwszy, a my ostatni raz może widzimy Polaków, powiedzieliśmy mu). Dobrze po przechadzce smakujące śniadanie zjadłszy, szliśmy dalej, gdy spotkaliśmy pocztę bardzo spiesznie jadącą, — nie wiedzieliśmy kto był w powozie; ledwo nas minęła, gdy jadąca nieco w tyle za nami Jazda poczęła krzyczeć po kilka razy: Vivat! Ciekawi, wróciwszy się, usłyszeliśmy, że to był jenerał Sokolnicki z placu boju od Wielkiego Wojska jadący, donosił o wielkiem zwycięstwie 2-go,[2] o pamięci na nas cesarza, który przez niego oświadcza, że jedzie do Polski dla Polski, że do dowódcy Frimont[3] wiezie ważne zlecenia i że wkrótce inny wojsko nasze weźmie obrót. Cała kolumna przechodząca zatrzymywała go. Po kilkakroć każdy pułk wykrzykiwał wiwaty. Chwila ta była najwyższym obrazem radości. Muzyka grać zaczęła, wojsko śpiewało najochotniej i wszyscy radziliśmy o powrocie do Xięstwa.[4]

[1] Por. K. Brodzińskiego *Nieznane poezje*, wydał z rękopisów Al Łucki, 1910, str. 214 (ten sam wiersz, z drobnemi zmianami, p. t. *Do wieśniaków*).

[2] Oczywiście Napoleona nad sprzymierzonymi, pod Lützen, 2-go maja 1813 r.

[3] Jenerał wojsk austrjackich, jeszcze formalnie sprzymierzonych z Napoleonem.

[4] Instrukcje Napoleona dla Frimonta miały spowodować m. in. zatrzymanie w najbliższym czasie pochodu wojsk polskich i powrót ich do Polski.

http://rcin.org.pl

Przed każdym ubogim siedzącym wtenczas przy drodze leżały stosy chleba, które im nasi żołnierze podawali, dziękując Bogu za zwycięstwo i dobre nadzieje. W Andrychowie mieliśmy odpoczynek, spełniliśmy najochotniej szklanki za zdrowie cesarza. Żyje jeszcze nasz stary Pan Bóg (powiadaliśmy sobie), więcej ma, niż rozdał.

Dniu 11 maja, w Starem Bilsku.

Przeszliśmy przez miasto Bielsko do wsi Starego Bielska.[1] Miasto porządne. Opisywanie go zostawiam tym, którzy umyślnie dla tego odbywają podróże, ja tylko kilka ulic i rynek w przechodzie widziałem. Kilka godzin tylko dalej, a już tu inny język i ubiory;[2] słychać głośno, że tu się zatrzymać lub inny obrót wziąć mamy. Pochód dotąd odbywa się porządnie. Niedługim marszem strudzony żołnierz zastaje wszystko gotowe dla posiłku i spocznienia, konie umieszczone wygodnie, obrok nagotowany; podwody pod rzeczy i chorych gotowe bez zwłoki, zgoła, można to nazwać marszem systematycznym. Czy zaś to wszystko już jest zapłacone, czy dopiero może to — i drogo — zapłacimy, różnie sądzimy. Dezercje bardzo mnogie panują w korpusie, za te parę dni już do 600 zbiegło (nasz korpus składa się z siedemnastu tysięcy kilkuset ludzi). Są to skutki mów gminu z naszymi żołnierzami, czem są zatrwożeni. Najwięcej zaś przyczynia się do tego owo na granicy złożenie broni.[3] Widok godny zastanowienia, gdy nasi żołnierze przymuszeni byli kłaść broń na wozy. Niechęć z żalem, posłuszeństwo z dumą widać było na twarzy pomięszanej każdego. — »Nie złożyłem jej, gdym był ranny«,

[1] Jak długo nie przyjdą oczekiwane nowe rozkazy, korpus wojska polskiego musi maszerować dalej według dawniej wydanych dyspozycyj.

[2] Znaleźli się już na Śląsku.

[3] Według umowy z Austrją, wojsko polskie — z wyjątkiem oficerów i podoficerów — na czas przemarszu przez prowincje austrjackie, a więc w chwili wkroczenia na Śląsk, musiało złożyć broń; wieziono ją za wojskiem na wozach.

http://rcin.org.pl

wołał jeden, »a tu mam ją sam oddawać«. — »Daruję im żołd za półtora roku«, rzekł drugi, »ale aby broń niech zatrzymam«. — »Natożem ją tyle lat dźwigał«, wołał inny, »to weźcie mi mundur i wszystko, niech się nie nazywam żołnierzem«. — »Zaco ja pójdę jak niewolnik«, wołał inny na pół z zgrzytaniem i płaczem. Takie i podobne wołania mięszały oficerów i zasmuciły księcia. Mianowano jednak do 20-tu ludzi z każdej kompanji niby podoficerami z najstarszych, i ci nieśli broń.

W Starem Bilsku, d. 12 maja.

Mamy przez dzień dzisiejszy spoczynek.

Polityko, ty widmo niedościgłe okiem,
Latasz po ziemi czarnym odziana pomrokiem,
Miecz twój tylko widomy, w ciemności błyska,
Twa dłoń nieznany pożar na domy nam ciska.
Tak, jako w głębi ziemi ogień rozrzucony
Czarne pieczary w różne wykopywał strony,
Skrycie podchodził, aby pochłonął Lizbonę,[1]
Tam nam brałaś powoli ziemie ulubione.
Przez ciebie kraj nam biorą, my uchodzim z bronią,
Radzibyśmy krew lali, łzy się same ronią,
Przez ciebie już z ojczyzny uchodzim raz trzeci
I gonim za jej cieniem, nieszczęśliwe dzieci.
Czyż świętość sprawy, Boże, już u Ciebie niczem,
I krwi tyle przed Twojem wylanej obliczem?
O Twej sprawiedliwości krew lejemy sławę,
A Ty gardzisz ofiarą, gnębisz naszą sprawę!
Boże wielki, kto w Tobie swą ufność położył,
Milej zapewne skonał, niż nieufny ożył.[2]

[1] Wówczas głośnem było trzęsienie ziemi i zniszczenie Lizbony (Przyp. Dmochowskiego). Katastrofa zdarzyła się w 1755 r.

[2] Te dwa ostatnie wiersze powtórzył potem Brodziński w różnych redakcjach elegji na sprowadzenie zwłok ks. Józefa Poniatowskiego. Por. *Nieznane poezje K. Br.* 1910, str. 10, w. 57—8, i *Wybór poezyj Br.* (*Bibl. Nar.* I, 31, str. 65, w. 161—2).

http://rcin.org.pl

Tak napisałem sobie po nowinach, które mi z miasta przywieźli.[1] W pobliskiem tutaj miasteczku pruskiem strzelano z dział na obchód zwycięstwa nad Francuzami odniesionego. Wszyscy nasi pojechali, my oba z M. zabawialiśmy się razem całe popołudniu. Wieczór przechodziłem się po pastwisku między gęstemi wierzbami.[2]

W Podgórzu, d. 13 maja.

Zebrała się rano kolumna za wsią Loebnitz ; od Bielska ledwo uszliśmy tysiąc kroków, gdy od księcia przyszedł goniec, aby się kolumna zwróciła i na swoje udała stanowisko. Jeden drugiego z tą uprzedzał nowiną, nie widać było nikogo bez oznaków prawdziwej radości, rozkaz ten tuszył nam pewny odwrót. Wróciliśmy się z M. do Starego Bielska i gdy za parę godzin zasnęliśmy, dano nam znać o rozkazie do marszu, gdzie? — do Skoczewa (w głąb Austrji).[3] To zatrzymanie nas ważnem nam się zdawało, gdyż marsz nasz był w układach[4] dniami rozporządzony. Stanęliśmy we wsi Podgórze, ćwierć mili ku Skoczewu, w kilku przepędziliśmy resztę dnia, rozważając, jak prędko znikły nasze nadzieje, i pytając, co to nas spotka?

---

[1] Jak wynika ze zdania następnego, musiały to być pogłoski o jakiejś świeżej klęsce Napoleona.

[2] W tekście Dmochowskiego jest tu jeszcze zdanie, przekreślone: »Do okoliczności wspomniał mi się piękny wiersz Mattysona«. — Obok tekstu zaś jest karteczka z owym wierszykiem:

Du winkst Allmächtiger, wenn hier dem Baum
Ein Windchen Blatt entweht,
Du winkst, wenn dort im ungemessenen Raum
Ein Weltsystem vergeht.

Otóż jest to rzeczywiście zakończenie wiersza Fryderyka Matthissona (1761—1831), poety niemieckiego, p. t. *Der Frühlingsabend* (p. *Gedichte* von Fr. v. Matthisson, w *Bibljotece Reclama*, tom 140, str. 17—18). Wiersz drugi i czwarty ma tekst nieco zmieniony; nadto w rękopisie w w. drugim przez pomyłkę napisano: *Blank*, zamiast *Blatt*.

[3] Tak więc rozwiały się ostatecznie nadzieje, że wojsko polskie zawróci do Polski; dotychczasowa tak długa niepewność i obecny ostateczny zawód pozostawał w związku z coraz bardziej dwuznacznem zachowywaniem się »sprzymierzonej« Austrji wobec Napoleona.

[4] z rządem austrjackim.

http://rcin.org.pl

W Bobrku, 14 maja.

W Ogrodzanach zebrani, przybyliśmy do Bobrka pod Cieszynem, gospodarz przyjął nas na kwaterze najuprzejmiej, rządność, gościnność tego człowieka tak mi się podobały, że chodziłem za nim i przysłuchiwałem się gospodarskim jego rozporządzeniom. Deszcz dzień cały kropił. Spocząwszy, wspomniałem sobie na słowa Chateaubrianda: »Szczęśliwy, kto nie widział dymu obcej biesiady i kto tylko przy ucztach swego ojca siadywał«.[1] Tak śpiewał murzyn, gdy po odmówionem mu wspomożeniu wychodził z obcej chaty, podnosząc łuk, który tam wchodząc oparł o ścianę. Ja memu gospodarzowi nie mogę tak śpiewać, lecz mówić mogę:

Szczęśliwy, kto na własnej osiadłszy zagrodzie,
Nie chodzi w świat o swojej i o cudzej szkodzie,
Ten, kto może obcego posilić w swym domu,
Stu zobowiązał, sam nic nie winien nikomu.

Życie nasze w tym kraju nie będzie, widzę, najwytworniejsze. U samych chłopów stawamy, a te nieznajome potrawy pan żołądek nie najgrzeczniej przyjmuje, mój M. zły niezmiernie na tę reformę z żołądkiem. Wina dobrego dostać nie można, a złe po tej cenie, co u nas lepsze. Dobra nasza moneta tak idzie, jak tutaj papiery, tak nazwane »Szeiny«.[2] Żołądek i kieszeń wycieńczają się znacznie.

W Dobrau, d. 15 maja.

Przybyliśmy do wsi Dobrau pod miasteczko Friedek. Przez piękne miasto Cieszyn tylkośmy przejechali. Deszcz z wiatrem nielitościwy nie przestaje nas prześladować. Stałem dziś bardzo wygodnie, miałem kilka osobnych po-

[1] Słowa powyższe są tłumaczeniem wyjątku z *Atali* Chateaubrianda.

[2] pochodzi zapewne od *Schein*, nazwy papierowej monety ówczesnej w Austrji,

http://rcin.org.pl

koików, całe popołudnie oddałem się samotności i melancholji. Melancholja, jeżeli rzadki, jest to miły towarzysz. Ona to jest jedna, która niejako sen na jawie sprawuje; za jej fantastycznemi obrazami goni serce po różnych przestrzeniach świata, rozrzewnia, tworzy sobie wyobrażenia smutne i ma w nich niejako upodobanie, albo często na samych Acherontu[1] smutnych urwiskach buduje sobie pałace, wyobraża sobie ukochane osoby zgromadzone i ona jedynie w imaginacyjnym swoim kraju daje poznawać szczęście daleko piękniejsze, jak to, za którem człowiek na jawie próżno po ziemi goni. Serce niewinne a nieszczęśliwe najwięcej żyje w jej kraju, tam ono znajduje wszystkie swoje straty, życzenia, nadzieje i nagrody, zabawia się niemi, póki go odgłos jakiej ziemskiej wesołości nie obudzi, niby weseląc, smucić się każe.

Tamże, 16 maja.

Mieliśmy dziś spoczynek. Zeszli się do nas wszyscy prawie koledzy i bawiliśmy [się] razem. Deszcz przeszkodził mi zwiedzić piękne tej wsi okolice.

Friedek, 17 maja.

Przyszliśmy do miasteczka Friedek. Zabawiło nas, gdy w tymże widzieliśmy z jednej strony dom zajezdny pod pod złotym wołem, a z drugiej (cokolwiek dalej) pod niemieckim cesarzem. Pytaliśmy się na ulicy przechodzącego Niemca, czy na to może policja zezwolić. Odpowiedział, że cesarz Józef, objeżdżając te kraje, nocował w tej oberży, a za dobre przyjęcie od gospodarza, pytał się go, czemby mu się mógł za to wywdzięczyć. Żądał gospodarz, aby mu wolno było mieć austerję pod znakiem cesarza, na co Józef zezwolił. Dobrze to jest, ale naco naprzeciwko ten wół?

Gdy dziś zajechałem do mojej gospodyni, tak się poczęła złościć, że żołnierzom ledwo rzeczy z rąk nie wypadły, a ja *obstupui, steteruntque comae et vox faucibus haesit.*[2]

[1] Acheron — rzeka żalu w Hadesie, stanowiąca najwybitniejszą granicę między światem żyjących a królestwem podziemnem.

[2] Wergiljusza *Aeneis* II 774.

http://rcin.org.pl

Usiadłem w kącie z pokorną miną, słuchałem głosu niepospolitego dźwięku i patrzyłem na twarz tak zaczerwienioną, jak najwyborniejsza toruńska cegła. W takim stanie przesiedziałem blisko godzinę, gwałtem zmuszając się do cierpliwości chrześcijańskiej. Ledwie później dowiedziałem się, że tę zemstę poniosłem za jakiegoś szczęśliwszego kolegę, który tu przedemną stojąc kwaterą, do dziewczyny okropnej tej pani mocno się przysuwał. On to więc był przyczyną całego mego strachu. Chcąc wynagrodzić jakożkolwiek obcesowość mojego towarzysza broni, gdy mi około wspomnianej dziewczyny trafem znaleźć się wypadło, obchodziłem ją, jak mogłem najdalej, ozierając się jedynie za Imością. Ta pokora moja tak się nareszcie pani podobała, że odtąd od zbytniej grzeczności i oświadczeń omal nie omdlewałem. Panowie mężowie! ręczę wam, iż na złe żony lepszego nie znajdziecie sposobu nad cierpliwość i pokorę.

Dnia 7 sierpnia, w Witgendorf.[1]

Zgubiony sexternik przejścia przez Austrję dalszego od Drakotusz, stąd zaniechanie i pobytu w Saksonji...; ale dziś daliśmy sobie znowu słowo z K. pisać dalszy dziennik; zacznijmyż więc tę trochę literacką pracę, a z wdzięczności dobremu K. — wysil się moja dziennikarska weno jemu na pochwały. Za co? Bo z łaski jego po dobrym jestem dzisiaj obiedzie.

Miał on[2] blisko półgodzinną rozprawę z prawdziwie oratorskim entuzjazmem z moim gospodarzem o dawanych mi obiadach, po której zupełna reforma kuchni nastąpiła. Dotąd stołowanie moje nie było najwyborniejsze; ja nigdy na tak śmiałe przedstawienie nie byłbym się zdobył, głodny i zły wstawałem niegdyś od stołu, — dzisiaj w zupełnie dobrym humorze i nawet coś poetycka wena nabrzmiewać zaczyna:

---

[1] Miasteczko nadgraniczne w Saksonji.

[2] W rękopisie Dmochowskiego, zapewne przez pomyłkę: »Miałem«; w tekście z 1844 ustępu tego brak.

http://rcin.org.pl

Bracia, poetycki rodzie!
Nie piszcie nigdy o głodzie,
Inaczej zawsze na świecie
Zrzędzić będziecie
I za ludzi przywarami
Tak będziecie gonić sami,
Jak za zającami w lesie
Głód charta niesie.
I ja tę przysięgę czynię,
Że gdy jaki wyśmienity
Mecenas mi się nawinie,
Po jego obiedzie syty
Rzucę Juwenalską[1] zrzędę,
W ogół ludzi chwalić będę.
Gdy wam pokój pożądany,
Paście poetów, o pany:
Z tem plemieniem wielka bieda,
Bo to sobie rady nie da;
A do której ręce wznosi,
Muza już ma przymiot stary,
Że nic w darze nie przynosi,
Prócz Kastalu pełnej czary.

Miałem dzisiaj dosyć wyrafinowaną wizytę. Po trzechkrotnem zapukaniu we drzwi, postrzegłem, przejęty uszanowaniem, brzuch pana Szulmajstra,[2] który kompletnie do mojej izdebki wnieść się raczył. Zapobiegając ukłonom dosyć podobnemu ciężarowi zadającym pracy, osadziłem szczęśliwie na mocnem krzesełku mojego w małej izdebce wielką rolę grającego gościa. Widząc, że wiewanie chustką słabą na twarz spoconą dawało ochłodę, otworzyłem oba przeciwległe okienka, przez które zefir przelatując, dzielnie po drodze skutkował, zajmując skrzydełkami o rozległe czoło.

---

[1] Juvenalis — satyryk rzymski z II w. po Chr.
[2] nauczyciela miejscowego.

rcin.org.pl

Wdawszy się zwolna w politykę, wpadliśmy na Karola XII-go, Fryderyka i Piotra Wielkiego, i szczęście, że nam nie dano daru Tacyta, bobyśmy przynajmniej z połowę wielkości tym ludziom odtrącili. Kosztowało nas to posiedzenie pełną tabakierkę tabaki, a piwko jakby w wannę Danajów[1] nalewane, zdawało się tworzyć źródło z impetem wybuchającej polityki. Wpadłszy w rozmowę o naszem wojsku, dowiedziałem się (z łaski szczególnej otwartości), że była przed przyjściem tu naszem niektóra prostota, utrzymująca, że Polacy są ludożercami. Miarkując po jego mądrości, słusznie to utkwić musiało w sercu pana Szulmajstra. Dowodziłem od Gotów, Sarmatów, że takimi nigdy nie byliśmy; grzeczny pan Szulmajster mówił, że temu nigdy nie wierzył, a jeszcze bardziej teraz, gdy nas widzi tak uczciwymi ludźmi. Zamilczeliśmy, wśród czego odgłos tabakierki dał się słyszeć, poczem nastąpiło recitativo:

Wenn sich Mund und Herz erlaben,
Will die Nase auch was haben,

a ja wpadłem w filozoficzne uwagi względem urzędu pana Szulmajstra:

W twoich rękach, mężu dzielny,
Są wielkich ludzi zarody,
Może Cezar nieśmiertelny,
Który podbija narody.

Może i mądrość Platona
Lub Archimeda roboty,
Może i lutnia Marona,
Może nawet Tyta cnoty.

Łatwiejby się wydarzyło
Zrobić Cycerona tobie,
Zanim jemu można było
Syna podobnego sobie.

[1] Mitologja mówi o beczce Danaid.

http://rcin.org.pl

Wszystkich darów niema razem;
Choć cię Emil[1] nie zachwala,
Przeciężbyś Russa obrazem
Nie dał dziecka do szpitala...

Dawszy mi dokładnie znać bogactwa Luzacji,[2] osobliwie miasta Zittau, wyniósł pan Szulmajster szczęśliwie swoją osobę bokiem przez próg, którego, bojąc się przypadku, odprowadziłem ku domowi.

Dnia 8 sierpnia, Witgendorf.

Zabłądziliśmy z K. do kościoła. Szerokim spodnicom wieśniaczek nie sposób dosyć się napatrzeć. Mężczyźni po chórach, kobiety same na dole w ławkach.

Piękną postrzegliśmy modę:
Czyli stare, czyli młode,
Czyli panny, czy mężatki,
Mają w ręku wonne kwiatki.

K. prawdziwy Adonis, obraził się, widząc w ręku staruszek bukieciki, dowodziłem mu, że one najsłuszniej powinny je z sobą nosić, aby ich zapachem ułagodzić biednym mężczyznom na chórach nieco nieprzyjemną atmosferę w górze z ich przyczyny. Dał się tem ułagodzić, wpadliśmy nawet na projekt, żeby dla zdrowszego powietrza:

Trwożne nawet Marsa syny
Nosili wonne wawrzyny.

Dała się wreszcie widzieć figura księdza Pastora, w tym samym guście, co pana Szulmajstra. Kaczkowaty głos jego, rozlegając się przez rozległe rury niepospolitego

---

[1] sławne dzieło pedagogiczne J. J. Rousseau'a.

[2] Łacińska nazwa Łużyc. O słowiańskiem pochodzeniu Łużyczan Br. nic nie wspomina, może nawet nie wie, gdyż świadomość narodowa zgermanizowanych Serbów rozbudziła się dopiero w ciągu XIX w.

nosa, obijał się z przeraźliwym dźwiękiem o mury, poczem wkrótce cicho wysunęliśmy się, nie psując entuzjazmu. Napotkaliśmy na drodze córeczkę pastora (niewinną owieczkę pasterza). K., który wszystkie niemieckie przetrząsł romanse, umiał jej nagadać tysiąc igraszek i grzeczności, a ja milcząc tylko poważnie przechodziłem się koło tej pięknej postaci (jak znawca jaki koło statui), z dołu do góry ją oglądając.

Nie wiem, czy na szczęście moje,
Że się kobiet strasznie boję;
Gdy takie spotkam stworzenie,
Nie wiem, skąd mi taka trwoga,
I że się zaraz rumienię,
Jak żak na widok batoga.
Boję się silić z pochwałą,
Bo myślę, że powiem mało,
Witając, patrzę na siebie,
Jak niezgrabnie nogą grzebię;
Siedzę cicho, a gdy wstanę,
Usta jak zamurowane.
Próżno do słów silę głowę,
Bo myślę, że me wyrazy
Lub pobudką do urazy
Lub wyśmiane być gotowe.

Niespodziewanie przyszedł do mnie dzisiaj kapitan R. i inni. Wyjechałem z gazetami świeżemi i t. d., — ale zdumiałem się, gdy i te i inne książki (a chociaż w dosyć pięknych oprawach) pozrzucano ze stołu, i ukazują się karty. Musiałem grać w whista, czego w życiu nie umiałem, uczono mię...

(*Odtąd braknie i dalej następują dwie ćwiartki z dalszej daty*).[1]

---

[1] Jest to dopisek Holly'ego.

Wilgendorf, 9 sierpnia.

Pastora, Szulmajstra i Oberforsztra spotkawszy w lasku na przechadzce, nachodziłem się z nimi kilka godzin. Pan leśniczy wychwalał wielką zdatność Polaków do myśliwstwa i ja ile możności chciałem go w tej utrzymywać opinji, — i o dowcipie niedźwiedzi naszych, lubo ich mało skąd więcej znam, jak z bajek Krasickiego, nagadałem mu dosyć, opowiadałem z przydatkami, jak Kazimierz Wielki na polowaniu zginął, jak dawni Radziwiłłowie niedźwiedzie i jelenie do powozów swych zaprzęgali. Zapraszał mię pan leśniczy na tę pożyteczną zabawkę, której musiałem odmówić, chociaż z obawą, aby ten pan wysokiego swego mniemania o myśliwstwie naszem nie stracił. Wreszcie wszędzie, mniej więcej w każdym stanie polujemy:

Król poluje za krajami,
Minister za majątkami,
Za urzędem urzędnicy,
Za pieniaczami prawnicy;
Filozof z poetą razem
Za myślami i Pegazem;
Żołnierz poluje za sławą,
Za pobożną duszą księża;
Fircyk goni za zabawą,
Dziewczę chce spolować męża,
Kupcy strzegą na młodzika,
Wierzyciele na dłużnika;
Mędrek w księdze, złodziej w skrzyni
Poluje, gdzieby co złowić,
Obmówca zasadzki czyni,
Jak co zbadać lub obmówić.
Krytyk na cudzą robotę,
Zazdrośnik na cudzą cnotę,
Zgoła wszędzie, w każdym stanie
Odprawiamy polowanie...

(Dalej braknie, na drugiej zaś kartce to następuje): [1]

[1] Dopisek Holly'ego.

http://rcin.org.pl

Niezawodne podobieństwo do wojny, straże przy parkach ścisłe, obozowanie i patrole się zaczynają. Przez granicę buską już przejść nikomu nie wolno, — miałem dzisiaj inspekcję w parku, deszcz z wiatrem uprzykrzał się nam bez litości. Bataljon piechoty zasłania park; porządkowaliśmy amunicję i t. d. do gotowości. Zluzowany będąc, wstąpiłem do kwatery P. Domek wiejski, gustownej roboty i w bardzo przyjemnem położeniu. Przed deszczem schroniła się tam niemała liczba oficerów. Gospodyni bardzo uprzejma, rozmawiała o niemieckiej i francuskiej literaturze z niepospolitą rzeczy wiadomością. Byłem mocno ciekawy zobaczyć książki w bardzo porządnej szafie, ale były same kucharskie. Zaproszeni zostaliśmy wszyscy na obiad, o którym, znając stan bibljoteki, niepoślednie miałem nadzieje. Przy końcu stołu przyjechał mąż pani, gospodarz domu, z Zittau. Bardzo pomięszany siadł do stołu i mało bardzo mówił, przerwał potem milczenie smutnym tonem, że niema już nic pocieszającego, wojna już jest wypowiedziana z Austrją;[1] sam jenerał Sułkowski oświadczył mu to i już jest w pogotowiu do marszu, i w nocy pewnie wojsko wyruszy. Wiadomość ta odmieniła wszystkich humor: dobra gospodyni rozpłakała się, gospodarz dodawał wina i sam się pocieszał z nami. Żal nam było rozejść się, ale ciekawi byliśmy rozkazów naszych. Po łzach, uściskach, błogosławieństwach i politowaniach...

(W tem miejscu brak kartki!).[2]

Witgendorf, 10 sierpnia.

Uroczysty obchód cesarskich urodzin odprawia się dziś w mieście, z nienależących do parady kompanij wybrano po kilkunastu żołnierzy na ucztę. Ja, nieprzyjaciel tych nakazanych zabaw, zostałem się w domu, gdy wszyscy oficerowie pojechali. Przysłano pieniędzy dla pozostałych żołnierzy, aby się i tu bawili. Byłem przymuszony zatrudnić się tem. Sala była na placu musztry, na pięknym trawniku

---

[1] Austrja przeszła ostatecznie do obozu sprzymierzonych.

[2] Dopisek Holly'ego.

http://rcin.org.pl

za wsią, obstawiona w koło powynoszonemi z domów ławami i stołami; skrzynka tytoniu, trzy beczki piwa i jedna wódki, ser, chleb, masło i muzyka składały wszystko. Po małej, dosyć wymuszonej przemowie (bo byłem bardzo smutny), wykrzyknąłem: »niech żyje Cesarz!«, a wśród powtarzanych wiwatów zaczął kieliszek chodzić od najstarszego. Muzyka prędzej, niż alarm bębnów i trąb, zwołała pospólstwo i zaczęły się tańce. Grzeczni żołnierze stosowali się do kraju i wolnym walcem rozpoczęły się tańce. Powodowali się różnym innym tańcom i figurom, jakie ośmielone dziewczęta przepisywały, lecz za powtórzonemi kieliszki powtarzał Polak koniecznie, że jest Polakiem, i bez wymówki i wyjątku zaczęły się mazurki i krakowiaki. Jak Niemki przy tym żwawym tańcu się uwijały, godna rzecz była patrzenia. Muzykusy żołnierze pobrali instrumenta kapeli i prawdziwie przyjemnie było słyszeć w obcym kraju gwar, muzykę i śpiewanie prostoty narodowej. Trwało to wszystko do 3-ciej po północy, a księżyc bardzo pięknie świecił. Szczęśliwa prostoto, myślałem sobie, jak łatwo ci o uciechy! Jak łatwo władcom pozyskać sobie serca twoje, nie wchodzące w skrytość zamiarów monarchów, nie zapatrujące się w przyszłość, — i niewinne serce i życie, Bóg wie, jakim zamiarom z ochotą i miłością w dań niosą. Gdyby monarcha mógł się zniżyć do poznania serc tego ludu, nie tak już szlachetność, sława, powinność urzędu kazałyby myśleć o prawdziwem ich szczęściu. Ale on często ułudzonych przywiązaniem ku sobie, prowadzi ich tem skuteczniej zamiarom swoim i tem łatwiej — na ofiarę.

W Witgendorf, 11 sierpnia.

Ledwo pobudziłem śpiących po wczorajszym balu kolegów moich. Bardzo świetnie było wszystko. Na rozkosznem cytawskiem (Zittau) błoniu zrobiono szopę, pod którą i stół zastawiony i wygodnie tańczyć można było. Na błoniu żołnierze wszelkich pułków razem się bawili. Książe z pierwszą lepszą kobietą rozpoczął wśród żołnierzy taniec,

za nim jenerałowie, oficerowie i żołnierze. Pił książe kwartą piwo do woltyżera, woltyżer do jenerała i t. d. Wszystko to nie mogło dosyć nacieszyć żołnierzy, a mieszkańcom sprawić podziwienia. Z różnych okolic zbiegali się mieszkańce, radość była na twarzy każdego i ciekawość zobaczenia tak dobrego wodza. Pospólstwo zmięszało się razem z żołnierzami, prócz ognisk, przy których pieczono mięso, widać było wszędzie koszyki z potrawami i trunkami, które ludzie dla żołnierzy znosili i bawili się razem. Iluminowana była szopa, ogrody i miasto, a napis z otwartości i prostoty swojej w jednem oknie bardzo mi się podobał:

Wenn's Friede wär',
Zwei mahl Licht mehr.

Popołudniu dzisiaj wystąpiliśmy na lustrację. Aż do wieczora bawiliśmy na błoniu. Rozdawano pilno żołnierzom umundurowanie. Czekamy tylko godziny zawiadomienia o wojnie. W górach od granic czeskich widać pikiety austrjackie powiększone. Prosto z pola pojechałem jeszcze do Zeifersdorf do mojego ukochanego pastora,[1] — bardzo był smutny, nowy pożar wojny licznemi zagrażał klęskami. Przyjechawszy do wsi, zastałem kompanję w poruszeniu. Po różnych uporządkowaniach czekaliśmy razem już w nocy rozkazu mającego nadejść; do mojego pastora Adernik napisałem z pożegnaniem, już go może nie zobaczę nigdy.

W Rosenthal, 13 sierpnia.

Zebraliśmy się wszyscy pod Zittau, po różnych oględach, instrukcjach aże popołudniu ruszyliśmy do Rosenthal, gdzie stanęliśmy obozem. Jest to bardzo piękna, dwie wsie oddzielająca dolina, z rozrzuconemi krzewami. Staliśmy spokojnie.

[1] Bliższe szczegóły o nim i o zaprzyjaźnieniu się z nim musiały się znajdować w zaginionej części *Dziennika*; jak wynika z dalszych słów, zwał się on Adernik.

http://rcin.org.pl

W Ostatz, 14 sierpnia.

Poszliśmy dalej o milę, jest to droga ku Dreznu; staliśmy spokojnie i mogliśmy po chałupach jeść sobie gotować.

W Eckersberg, 15 sierpnia.

Wróciliśmy się znowu pod samo Zittau do Eckersberg. Trudność wielka żywności i furażu. Stajemy na polach naszych dobrych gospodarzy Eckersberskich, u których najpierwszy raz przy wejściu w Saksonję staliśmy. Smutno było widzieć ich pole poniszczone.

16 sierpnia, tamże.

Jeszcze tu czekamy. Marsz nasz ku Dreznowi był tylko zmyślony. Od stron czeskich spodziewamy się ataku. Odmieniliśmy pozycję.

17 sierpnia, tamże.

Byłem dzisiaj w Zeifersdorf, wysłany do zabierania siana i zboża dla koni artylerji. Smutna bardzo powinność... Byłem przecie u pastora, uściskał mię i pobłogosławił... [1]

---

[1] Na tem urywa się tekst *Dziennika* Brodzińskiego; w druku z 1844 r. i w rękopisie Dmochowskiego następują jeszcze trzy dopiski Holly'ego. Przytaczam tu pierwszy i drugi (trzeci, obszerniejszy a zawierający powszechnie znane szczegóły z życiorysu Brodzińskiego, pomijam).

1. »Przypominam sobie, iż czytałem przed kilku laty jeszcze jedną kartkę, dziś już zatraconą, w której opisywał lustrację czyli powitanie wojsk polskich przez Napoleona. Tam młody oficer Brodziński okazał, że umiał czytać w głębi serc ludzkich i że miał sąd trafny, przenikliwy, wyższy od panującej wtedy opinji.

2. »Wiernie co do litery powyższy *Dzienniczka* urywek skopjowałem. — Holly«.

http://rcin.org.pl

Urzędowa autobiografja

z 1823 r.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

1. Urodziłem się roku 1791 (8 marca) w Galicji austrjackiej, w cyrkule Bocheńskim, we wsi Królówce, z rodziców Jacka i Franciszki z Radzikowskich, wyznających religję rzymsko-katolicką. Ojciec mój był dzierżawcą starostwa Lipnickiego.[1] Dowodów szlachectwa nie mam innych nad ten, iż po zgonie ojca zostałem pod opieką *Forum nobilium* w Tarnowie. Odbyłem tak zwane szkoły niemieckie normalne, tudzież gimnazjum w Tarnowie. Przez czas pobytu mego w gimnazjum profesorowie Parczewski i Schmidt udzielali mi prywatnie nauk i języków, w szkołach niedawanych, ostatni zaznajomił mię z literaturą niemiecką, obadwaj bez żadnego wynagrodzenia; za to niech mi tu będzie wolno wdzięczność tym mężom wyrazić. Wcześnie utraciwszy rodziców, gdy spadek po nich doznał prawniczego zawikłania, od młodości trudniłem się wychowaniem dzieci, jako sposobem utrzymywania się w szkołach. Za przełożenie w szkołach poezyj *Collina* otrzymałem od rządu austrjackiego stypendjum i miejsce w Instytucie Wiedeńskim, ale niedoświadczenie i tęskność do języka i literatury polskiej nie dozwalały mi korzystać z tej łaski mojego rządu; udałem się do Uniwersytetu krakowskiego, przy którym przez półtora roku poświęcałem się naukom filozoficznym i filologicznym. Dotąd dowody utraciłem w kampanji 1812 roku.

2. W roku 1809, gdy wojsko Księstwa warszawskiego weszło, idąc za powszechną opinją, wszedłem w służbę ar-

[1] U Arabażyna tekst zaczyna się od słów: »Mam honor złożyć opis życia mojego, obejmujący: 1. wychowanie, 2. zawód wojskowy, 3. zawód administracyjny, 4. zawód nauczycielski, 5. literacki«. — Natomiast powyższych dwóch pierwszych zdań zupełnie brak.

PRZEWODNIK

tylerji jako ochotnik. Odbyłem kampanję rosyjską i niemiecką; za Moskwą mianowany oficerem, pod Lipskiem wzięty byłem w niewolę, a utraciwszy siły i chęć do służby wojskowej, otrzymałem żądane uwolnienie.

3. Po krótkim odpoczynku na wsi, udałem się do Warszawy w celu poświęcenia się służbie publicznej. W r. 1816 po bezpłatnem zasługiwaniu się w Komisji oświecenia wyznaczone miałem obowiązki zastępcy kancelisty, lecz gdy tu nie miałem innego zatrudnienia, jak ciągłe przepisywanie na czysto, prosiłem o uwolnienie, które otrzymawszy, udałem się do Komisji spraw wewnętrznych, gdzie dziewięć miesięcy jako bezpłatny adjunkt, a pięć jako płatny sekretarz w sekcji administracyjnej zostawałem. Gdy wskutku traktatów wiedeńskich utworzoną być miała Komisja likwidacyjna, trudniłem się z własnej ochoty przez pół roku przygotowywaniem materjałów do prac tejże Komisji. Później mianowany zostałem sekretarzem tejże Komisji trzech dworów. Obowiązki moje pełniłem do końca roku 1820, w którym też magistratura rozwiązaną została. Otrzymałem polecenie do wszystkich Komisyj rządowych, względem umieszczenia mię w stopniu odpowiadającym, lecz dawniej już sposobiłem się do stanu nauczycielskiego.

4. W roku jeszcze 1818 prof. Kamieński, prowincjał pijarski, któremu z pism niektórych tylko znany byłem, zaproponował dawanie lekcyj języka i literatury polskiej w konwikcie Żoliborskim. Obowiązki te pełniłem od roku 1818 do 1822. Równie przez cztery lata dawałem dla młodzieży duchownej w seminarjum pijarskiem naukę wymowy i poezji. Przez rok 1819—1820 dawałem lekcje literatury w szkole wojewódzkiej pijarskiej.

W roku 1818 otrzymałem od Komisji spraw wewnętrznych i policji nominację na nauczyciela literatury dramatycznej przy tutejszem konserwatorjum, od którego to obowiązku dla innych zatrudnień musiałem się wymówić.

W roku 1821 wezwany zostałem przez Komisję rządową wyznań religijnych i oświecenia publicznego na profesora literatury w Liceum warszawskiem z tem oświad-

czeniem, iżbym oraz wykładał kurs publiczny w uniwersytecie. Poźniej Komisja rządowa, wchodząc w słuszność moich w tej mierze przełożeń, raczyła mię wezwać do czytania kursu historji krytycznej literatury polskiej w Uniwersytecie.

W r. 1823 Komisja rządowa na przedstawienie rektora łaskawą była mianować mnie sekretarzem Uniwersytetu. Co do obyczajów i pełnienia moich obowiązków w zawodzie administracyjnym i nauczycielskim odwołuję się do świadectw dołączonych.

5. *a*) Od r. 1816 pełniłem bezpłatnie przez lat 6 obowiązki sekretarza Dyrekcji rządowej teatru narodowego, mając sobie w części powierzoną cenzurę literacką dzieł dramatycznych.

Przez ten czas kilkanaście dzieł teatralnych przez siebie tłumaczonych lub ułożonych oddałem do repertuaru sceny narodowej.

Towarzystwo królewskie Przyjaciół nauk wezwało mię w r. 1820 na członka przybranego, a w r. 1822 na członka czynnego.

Towarzystwu muzyki kościelnej złożyłem przełożoną przez siebie część teoretyczną dzieła Forkla[1] »o muzyce« której dla braku funduszów dotąd Towarzystwo nie drukuje.

Do dzieła Józefa Elsnera *O prozodji języka polskiego* wypracowałem część praktyczną wierszem miarowym dotąd nie używanym. Takowe wiersze ułożyłem do kajetów nauki muzyki w konserwatorjum, równie pieśni mszalne do muzyki, dziś po kościołach używane.

Od r. 1819 trudniłem się wspólnie z prof. Bentkowskim redakcją *Pamiętnika Warszawskiego*, a od r. 1821 wspólnie z p. Skrodzkim i Skarbkiem.

W roku bieżącym otrzymałem od Komisji rządowej zachęcenie do wykończenia projektowanego wydania przepisów i wzorów wymowy i poezji dla szkół publicznych.

---

[1] Jan Mikołaj Forkel (1749—1818), niemiecki teoretyk i historyk muzyki.

http://rcin.org.pl

Wydałem dzieło Szyllera *Dziewicę Orleańską*, przez brata mego przełożone.

b) Lubo głównem mojem zatrudnieniem jest historja literatury polskiej, podałem jednak do druku pisma następujące: dwa tomy poezyj, tragedję *Templarjusze*, z Raynouard,[1] tragedję *Abufar* p. Ducis,[2] rozprawa *o pismach klasycznych i romantycznych, myśli o dążeniu polskiej literatury*, rozprawa *o satyrze, o elegji, o wpływie nauk na rządy i wzajem*, rozprawa uwieńczona z Herdera; rozprawę Garvego[3] *o opinji publicznej*, poema Waltera Scott: *Ostatni bard szkocki*.

Prócz *listów o polskiej literaturze* i innych pism w *Pamiętnikach* i *Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk*.

W Warszawie 30 sierpnia 1823 r.

K. Brodziński

Fundacja Im. T. T. Michalskich ze zbiorów
INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

[1] Franciszek Raynouard (1761—1836), autor dramatyczny francuski (*Templiers* 1805), filolog i historyk.

[2] Jan Fr. Ducis (1733—1816), francuski autor dramatyczny, tłumacz Szekspira. — Tragedja *Abufar* ukazała się w r. 1795.

[3] Chrystjan Garve (1742—1798), filozof-etyk i ekonomista niemiecki.

http://rcin.org.pl

SPIS TREŚCI

str.

WSTĘP. Napisał Dr Aleksander Łucki . . . . . I—XXX

1. WSPOMNIENIA MOJEJ MŁODOŚCI 1
2. DZIENNIK WOJSKOWY Z 1813 R. 69
3. URZĘDOWA AUTOBIOGRAFJA 103

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Pierwsza serja

BIBLJOTEKI NARODOWEJ

obejmuje:

Kochanowskiego TRENY, w opracowaniu prof. *Tadeusza Sinki* (Nr. 1)
Słowackiego KORDJAN, w oprac. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 2)
Kochanowskiego ODPRAWA POSŁÓW, w oprac. *T. Sinki* (Nr. 3)
Niemcewicza POWRÓT POSŁA, w oprac. prof. *Stan. Kota* (Nr. 4)
Lenartowicza WYBÓR POEZYJ, w oprac. prof. *M. Janika* (Nr. 5)
Mickiewicza POEZJE (Tom I), w opr. prof. *Józefa Kallenbacha* (Nr. 6)
Słowackiego ANHELLI, w opracow. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 7)
Towiańskiego WYBÓR PISM, w oprac. prof. *Stan. Pigonia* (Nr. 8)
Felińskiego BARBARA RADZIWIŁŁÓWNA, w opracowaniu prof. *Marjana Szyjkowskiego* (Nr. 9)
Brodzińskiego O KLASYCZNOŚCI I ROMANTYCZNOŚCI, w opracowaniu prof. *Aleksandra Łuckiego* (Nr. 10)
Mickiewicza DZIADY WILEŃSKIE, w opr. prof. *J. Kallenbacha* (Nr. 11)
Żółkiewskiego PAMIĘTNIKI O WOJNIE MOSKIEWSKIEJ, w opracowaniu prof. *Wacława Sobieskiego* (Nr. 12)
Słowackiego BENIOWSKI, w opr. prof. *Juljusza Kleinera* (Nr. 13/14)
Kopernika WYBÓR PISM, w oprac. prof. *L. Birkenmajera* (Nr. 15)
Słowackiego LILLA WENEDA, w opr. prof. *Michała Janika* (Nr. 16)
Mickiewicza KSIĘGI NARODU I PIELGRZYMSTWA POLSKIEGO, w opracowaniu prof. *Stanisława Pigonia* (Nr. 17)
Krasińskiego PRZEDŚWIT, w opr. prof. *Juljusza Kleinera* (Nr. 18)
Potockiego WIERSZE, w opracowaniu prof. *A. Brücknera* (Nr. 19)
Mickiewicza DZIADY, CZĘŚĆ III., w opr. prof. *J. Kallenbacha* (Nr. 20)
Pola PIEŚŃ O ZIEMI NASZEJ, w opr. dyr. *R. Zawilińskiego* (Nr. 21)
Fredry ŚLUBY PANIEŃSKIE, w opr. prof. *Eug. Kucharskiego* (Nr. 22)
Czartoryskiej MALWINA, w opr. prof. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 23)
Krasińskiego NIEBOSKA KOMEDJA, w opr. prof. *J. Kleinera* (Nr. 24)
Korzeniowskiego SPEKULANT, w opr. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 25)
POLSKA PIEŚŃ LUDOWA, w opr. prof. *J. St. Bystronia* (Nr. 26)
Mickiewicza TRYBUNA LUDÓW, w oprac. red. *E. Haeckera* (Nr. 27)
Korzeniowskiego KOLLOKACJA, w op. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 28)
Słowackiego KSIĄDZ MAREK, w oprac. *St. Turowskiego* (Nr. 29)
Zaleskiego WYBÓR POEZYJ, w opr. prof. *Józefa Tretiaka* (Nr. 30)
Długosza BITWA GRUNWALDZKA, w opr. *J. Dąbrowskiego* (Nr. 31)
Fredry ZEMSTA, w oprac. prof. *Eugenjusza Kucharskiego* (Nr. 32)
Pola PIEŚNI JANUSZA, w opr. prof. *Józefa Kallenbacha* (Nr. 33)
Brodzińskiego WYBÓR POEZYJ, w oprac. prof. *Al. Łuckiego* (Nr. 34)
Konarskiego WYBÓR PISM POLITYCZNYCH, w opracowaniu prof. *Władysława Konopczyńskiego* (Nr. 35)
Fredry PAN JOWIALSKI, w oprac. prof. *Eug. Kucharskiego* (Nr. 36)
Ujejskiego WYBÓR POEZYJ, w oprac. prof. *M. Janika* (Nr. 37)
Blizińskiego PAN DAMAZY, w opr. *Dra Z. Nowakowskiego* (Nr. 38)
Romanowskiego DZIEWCZĘ Z SĄCZA, w opr. *Dr. St. Lama* (Nr. 39)
Reja WYBÓR PISM, w oprac. prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 40)
Krasickiego DOŚWIADCZYŃSKIEGO PRZYPADKI, w opracowaniu prof. *Bronisława Gubrynowicza* (Nr. 41)

Krasińskiego IRYDION, w oprac. prof. *Tadeusza Sinki* (Nr. 42)
Słowackiego MINDOWE, w opracow. prof. *Wiktora Hahna* (Nr. 43)
Goszczyńskiego ZAMEK KANIOWSKI, w op. prof. *J. Tretiaka* (Nr. 44)
Sowińskiego WYBOR POEZYJ, w opr. dyr. *Wł. Brydy* (Nr. 45)
Malczewskiego MARJA, w oprac. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 46)
Słowackiego POWIEŚCI POETYCKIE, w opr. *M. Kridla* (Nr. 47)
SIELANKA POLSKA W XVII WIEKU, w opr. *A. Brücknera* (Nr. 48)
Słowackiego TRZY POEMATA, w opr. prof. *Józ. Maurera* (Nr. 49)
Goszczyńskiego KROL ZAMCZYSKA, w opr. prof. *J. Tretiaka* (Nr. 50)
Słowackiego BALLADYNA, w opr. prof. *Juljusza Kleinera* (Nr. 51)
Pola MOHORT, w opracowaniu prof. *Aleksandra Łuckiego* (Nr. 52)
Kraszewskiego STARA BASN, w opr. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 53)
Syrokomli WYBOR POEZYJ, w oprac. prof. *Fr. Bielaka* (Nr. 54)
Kraszewskiego BUDNIK, w oprac. prof. *Wiktora Hahna* (Nr. 55)
Mochnackiego O LITERATURZE POLSKIEJ XIX WIEKU, w opracowaniu prof. *Henryka Życzyńskiego* (Nr. 56)
Słowackiego SEN SREBRNY SALOMEI, opr. *S. Turowskiego* (Nr. 57)
Kraszewski POWROT DO GNIAZDA, w opr. *W. Hahna* (Nr. 58)
Galla-Anonima KRONIKA, w oprac. prof. *R. Grodeckiego* (Nr. 59)
SREDNIOWIECZNA POEZJA POLSKA SWIECKA, w opracow. dra *Stefana Vrtel-Wierczyńskiego* (Nr. 60)
Rzewuskiego LISTOPAD, w opr. prof. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 61)
Paska PAMIĘTNIKI, w oprac. prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 62)
Korzeniowskiego KARPACCY GORALE, w opr. *W. Hahna* (Nr. 63)
Norwida WYBOR POEZYJ, w opr. prof. *St. Cywińskiego* (Nr. 64)
SREDNIOWIECZNA PIESN RELIGIJNA POLSKA, w opracowaniu prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 65)
Mickiewicza POEZJE (Tom II), w opr. prof. *J. Kallenbacha* i prof. *J. Bystrzyckiego* (Nr. 66)
Asnyka WYBOR POEZYJ, w opr. prof. *Eug. Kucharskiego* (Nr. 67)
SREDNIOWIECZNA PROZA POLSKA, w opracowaniu prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 68)
Anczyca KOSCIUSZKO POD RACŁAWICAMI, w opracowaniu prof. *Jana St. Bystronia* (Nr. 69)
Skargi KAZANIA SEJMOWE, w opr. prof. *Stanisława Kota* (Nr. 70)
Kraszewskiego DZIECIĘ STAREGO MIASTA, opr. *W. Hahna* (Nr. 71)
Mickiewicza KONRAD WALLENROD, w opr. *J. Ujejskiego* (Nr. 72)
Zimorowica ROKSOLANKI, w oprac. prof. *A. Brücknera* (Nr. 73)
Mickiewicza GRAŻYNA, w opracowaniu prof. *Henryka Życzyńskiego,* z wstępem prof. *Józefa Tretiaka* (Nr. 74)
Potockiego WOJNA CHOCIMSKA, w opr. prof. *A. Brücknera* (Nr. 75)
Słowackiego MAZEPA, w opr. prof. *Bron. Gubrynowicza* (Nr. 76)
TOWARZYSTWO FILOMATOW, w opr. prof. *Al. Łuckiego* (Nr. 77)
Anczyca OBRAZKI DRAMATYCZNE LUDOWE, w opracowaniu prof. *Jana St. Bystronia* (Nr. 78)
Mickiewicza PISMA ESTETYCZNO-KRYTYCZNE, w opracowaniu prof. *Henryka Życzyńskiego* (Nr. 79)
Trembeckiego WYBOR POEZYJ. SOFIOWKA, w opracowaniu *Władysława Jankowskiego* (Nr. 80)

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

F
23.053

Krasińskiego WYBÓR LISTÓW, w opr. prof. J
Szarzyńskiego POEZJE, w opracowaniu prof.
Sniadeckiego Jana WYBÓR PISM, w oprac. go
ROMANS STAROPOLSKI, w opr. prof. *Jul.* ego
Zabłockiego CZTERY KOMEDJE, w opr. dyr. dra ckiego
Chodźki PAMIĘTNIKI KWESTARZA, w opr. dra *W. Borowego*
WIOSNA LUDÓW W POLSCE. Wybór źródeł, w opr. *J. Frejlicha*
Mickiewicza WYBÓR LISTÓW, w opr. dra *Wacława Borowego*
Woronicza WYBÓR POEZYJ, w opr. prof. *A. Drogoszewskiego*
Słowackiego KRÓL DUCH, w opracowaniu *J. Gw. Pawlikowskiego*
Niemcewicza WYBÓR POWIEŚCI, w opr. prof. *Br. Gubrynowicza*
WALKA KLASYKÓW Z ROMANTYKAMI, w opr. prof. *A. Łuckiego*
Kraszewskiego PAMIĘTNIK MROCZKA, w opr. prof. *W. Hahna*
Słowackiego HORSZTYŃSKI, w opracowaniu prof. *J. Balickiego*
Krasickiego BAJKI, w opracowaniu prof. *Juljusza Kleinera*
Mickiewicza KURS LITERATUR SŁOWIAŃSKICH, w opracowaniu prof. *Stanisława Pigonia*
Kraszewskiego METAMORFOZY, w oprac. prof. *Wiktora Hahna*
Szajnochy SZKICE HISTORYCZNE, w opr. prof. *Józ. Krajewskiego*
Słowackiego POEZJE LIRYCZNE, w opracowaniu prof. *M. Kridla*
Cieszkowskiego OJCZE NASZ, w oprac. prof. *Józefa Ujejskiego*
WIELKA EMIGRACJA. Wybór pism, w opr. dra *Józefa Frejlicha*
POECI MNIEJSI POLSKIEGO HUMANIZMU w opracow. prof. *Aleksandra Brücknera*
Berwińskiego WYBÓR POEZYJ, w oprac. prof. *J. St. Bystronia*
ROMANS STAROPOLSKI POETYCKI XVI I XVII WIEKU, w opracowaniu prof. *Bronisława Gubrynowicza*
Słowackiego WYBÓR LISTÓW, w opracowaniu *Stan. Wasylewskiego*
Kadłubka KRONIKA, w opracowaniu prof. *Romana Grodeckiego*
LITERATURA SOWIZDRZALSKA, w opr. prof. *Al. Brücknera*
Mickiewicza PISMA POLITYCZNE, w oprac. prof. *Stan. Pigonia*
POEZJA LEGJONÓW, w opr. prof. *Bronisława Gubrynowicza*
Mickiewicza WYBÓR PISM I PRZEMÓWIEŃ MESJANISTYCZNYCH, w opracowaniu prof. *Stanisława Pigonia*
Krasickiego SATYRY I LISTY, w oprac. dyr. dra *L. Bernackiego*
Opalińskiego Łukasza PISMA POLSKIE, w opr. prof. *Stan. Kota*
Fredry MĄŻ I ŻONA, w oprac. prof. *Eugenjusza Kucharskiego*
Krasickiego MONACHOMACHJA, w opr. dyr. dra *L. Bernackiego*
Fredry ODLUDKI I POETA, w oprac. prof. *Eug. Kucharskiego*

DO NABYCIA

W KRAKOWSKIEJ SPÓŁCE WYDAWNICZEJ

(KRAKÓW, UL. Św. FILIPA L. 25)

W KSIĘGARNI JAGIELLOŃSKIEJ

(KRAKÓW, UL. WIŚLNA 3)

I WE WSZYSTKICH INNYCH KSIĘGARNIACH

http://rcin.org.pl